



WIDNOKRAĆ

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 10 (388)
9 marca 1969 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



50 lat leningradzkiego Teatru im. Gorkiego

Leningradzki Akademicki Wielki Teatr Dramatyczny imienia Gorkiego obchodził swe 50-lecie. Jubileusz ten stał się zarazem poważnym wydarzeniem w życiu kulturalnym ZSRR, jest to bowiem pierwszy teatr utworzony przez władzę radziecką.

Przed pół wiekiem rada artystyczna przy oddziale teatrów i widowisk Związku Komunistów Obwodu Północnego pod przewodnictwem M. Gorkiego postanowiła: „należy zorganizować w Piotrogrodzie teatr tragedii, dramatu romantycznego i wartościowej komedii”. 15 lutego 1919 r. nowy zespół przedstawił piotrogrodzkiemu widzom pierwszy spektakl. Był to „Don Carlos” F. Schillera.

Plastycy na 25-lecie

Śladem zakładów produkcyjnych i przedsiębiorstw, również środowiska twórcze Rzeszowa zamierzają podjąć akcję czynów i prac społecznych dla uczczenia jubileuszu Polski Ludowej.

Wśród artystów zainaugurował ją artysta plastyk Jerzy Sienkiewicz, który zobowiązał się wykonać w czynie społecznym freski na ścianach oddziału dziecięcego Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie i przekazać 10 rysunków dla dekoracji wnętrza nowego gmachu Wojewódzkiego Ośrodka Propagandy Partyjnej.

Inicjator akcji zamierza w ten sposób rozpocząć „Jańcuszkowy” system zobowiązań i wzywa do podjęcia podobnych prac społecznych artystę plastyka Adolfa Jakubowicza.

Jg.

Po obu stronach szosy Jarosław — Tarnogród drewniane domki, zabudowania gospodarcze. Wąskie ścieżyny, wydostające w puszystym śniegu prowadzą do parterowego, oddzielnego budynku. To szkoła przy Końskiej Ulicy lub też Komorze takim mianem określił ją mężczyzna w średnim wieku, którego podwieźliśmy do Majdanu. Skąd się biorą te nazwy nie było już czasu pytać nasz pasażer, podziękowawszy wysiadł, ja zaś skierowałem się do szkoły. U progu ogarnął mnie gwar dziecięcych rozmów znalazłem się pośród rozbieganej gromady. Zaraz też zaprowadzono mnie do ukrytej w głębi hallu ciasnej kancelarii gdzie zebrało się nieomal w komplecie grono nauczycielskie. Poznałem młode nauczycielki i przewodzącego im jedynego mężczyznę, kierownika szkoły Władysława Borka. Jak się później okazało, trafiłem pod dobry adres, gdyż pracujący tu od ośmiu lat kierownik okazał się człowiekiem zaangażowanym

Zbigniew Wawszczak

BUNTOWNICZA WIES

w życie rodzinnej wsi, pełniącym wiele społecznych funkcji. Jest również sekretarzem Komitetu Gromadzkiego partii.

KOMORA CELNA NAD ŻŁOTĄ

Starsi mieszkańcy Majdanu Siemawskiego pamiętają doskonale że jeszcze w 1918 roku wieś ich stanowiła bograczną osadę najjaśniejszego cesarza, a budynek w którym dzisiaj mieści się szkoła nr 2, zajmowała austriacka komora celna. Gdzieś w latach trzydziestych przekształcono zabudowania na szkołę, ale dopiero niedawno przeprowadzono w czynie społecznym rozbudowę tego obiektu stworzyla z niego odpowiadające potrzebom pomieszczenie.

— No i nareszcie mamy ciepło! — powiada z naciskiem kierownik Borek. Staram się zrozumieć właściwie te słowa. Widać że jeszcze niedawno marzyli tu i dzieci, i wychowawcy, uczyć w takich warunkach nie było najłatwiej, a później zleźnięte dzieci musiały jeszcze przemykać zaśnieżonymi ścieżkami do odległych częstokroć domów. Rozumiem więc zadowolenie kierownika i jego nie bez dumy wypowiedziane słowa: — zrobiliśmy to sami!

W trakcie dalszej rozmowy jeszcze niejedną raz padnie takie sformułowanie. Bo wieś ta jest położona na skraju województwa, na pograniczu Rzeszowskiego i Lubelszczyzny, o

40 kilometrów od powiatowego Jarosława, wiele problemów rozwiązywała własnymi siłami.

SPOŁECZNYM WYSIŁKIEM...

— Wybudowaliśmy w czynie społecznym — mówi kierownik Borek — dom kultury, remizę strażacką, rozbudowaliśmy szkołę. Osobna sprawa to drogi: przebudowaliśmy dotychczas cztery kilometry, dwa dalsze przygotowaliśmy do stabilizacji. Ludzie coraz lepiej rozumieją, że połączenie własnego wysiłku i pomocy państwa stwarza przesłanki szybkiego rozwiązywania zasadniczych, stojących przed wsią problemów. Nie będę utrzymywał — zastrzega się Borek,

meżczyzna około trzydziestki, szczupły, wysoki, — że prawda ta dotarła już do wszystkich, ale w tym kierunku zmierzaj nasza praca, w tym kierunku oddziałują organizacja partyjna i ZSL, i jedna, i druga liczące po kilkudziesięciu członków. W okresie poprzedzającym V Zjazd partii, zaciągnęliśmy warty produkcyjne, wraz z młodzieżą starszych klas wyszedłem do budowy drogi. Kiedy zobaczyli nas starzy, nie wypadało im uchylić się, poszli za naszym przykładem...

Słucham wynurzeń sekretarza z ogromnym zainteresowaniem, bo też odsłania on kulisy, mechanizm procesu skądinąd ogromnie ciekawego. Byłem już w tylu wsiach, miasteczkach, nasłuchiwałem się sporo o sposobach wciągania ludzi w społeczną robotę, o przełamywaniu wiekowych barier, o budzeniu zrozumienia dla roli i siły kolektywu. Toż to ogromne siły, drzemiące

(Ciąg dalszy na str. 2)

Buntownicza wieś

(Ciąg dalszy ze str. 1)

często w bezwładzie, czekające tylko na poruszenie! Ileż można zrobić przy ich pomocy, jak dalece zmienić, przeobrazić miasteczko, wieś — mogłem się nie jeden raz przekonać. Ale też trudno jest je poruszyć, niełatwo dobrać odpowiednie klucze, stworzyć właściwe zamki...

Tam jednak, gdzie przynajmniej częściowo udało się tego dokonać, skutki są widoczne jak na dłoni. Choćby te drogi, nie-szczęśliwe polskie drogi, od stuleci fatalne, przez nikogo nie naprawiane, uznane za dopust boży, na który nie ma rady. I oto okazuje się, że jest sposób na te drogi, że wystarczy solidna mobilizacja mieszkańców, by w ciągu jednego sezonu, korzystając z pomocy państwa, odmieńnić nie do poznania spore odcinki takiej trasy. Gdy zaś cierpliwie, rok po roku, ponawiać wysiłki, po paru latach wyboisty, dziurawy trakt, w którym tonęli ludzie i zwierzęta, przechodzi do nierzeczywistych, legendarnych wspomnień.

Z satysfakcją słuchałem więc relacji o owych czterech kilometrach już ulepszonej w Majdanie Sieniawskim drogi, o następnych dwu zaawansowanych w przebudowie. Musiałem wierzyc na słowo, bo spora warstwa żniegu kryła szczerze i dobre i kiepskie trakty. Ale nie sądzę, że koniec na tym, że aktyw majdański nie będzie jeszcze musiał mobilizować mieszkańców do dalszej pracy, aby wreszcie suchą nogą można było dojechać do owych Bukowców, Dużych i Małych, do Dobropola, Chałupek i innych przysiółków Majdanu, które rozłożyły się na pofalowanym terenie, wśród rozległych lasów, przybierając kształt podkowy...

SALWY GRANATOWEJ POLICJI...

Z dawien dawna ludzie mieszkający wśród puszczy, nieprzebytej lasów słynęli z umiłowania wolności, odwagi. Toteż ucisk feudała nie był tu nigdy mocno ugruntowany, a wszystko to sprzyjało kształtowaniu niezależności puszczańskich osad. Nie popełnimy omyłki, jeżeli właśnie do ich rzędu zaliczymy Majdan Sieniawski, który już w nazwie swej ma jakieś egzotyczne związki ze Wschodem. Tata-rami. Moi rozmówcy coś o tym słyszeli, ale nie potrafili przytoczyć żadnych konkretnych...

Niska kultura rolna, podmokłe gleby, niemożliwość otrzymania jakiegokolwiek przyrostu, przekreślenie nawet iluzorycznych „dochodów”, jakie ciągnęła drobna garstka mieszkańców z przemytu przez granicę austriacko-rosyjską, zwłaszcza koni — wszystko to powodowało, że wędrująca z trudem wieś przeżywała w okresie przedwojennym gwałtowną radykalizację poglądów. Kiedy ogłoszono w kraju strajk chłopski, Jarosławskie, a wraz z nim Majdan znalazły się wśród tych środowisk, gdzie hasło strajkowe znalazło szczególnie odzew.

Zyją jeszcze uczestnicy tamtych wydarzeń. Udajemy się do jednego z nich, Mikołaja Marcza-ka. Jest to starszy mężczyzna. Krwawe wydarzenia z lat trzydziestych są mu doskonale znane, był wtedy prezesem koła SL w Majdanie.

Pan Mikołaj zaczyna swą opowieść. Mówi dokładnie wybierając z pamięci nazwiska, daty, fakty. Słucham jak urzeczony ale nie notuję wszystkiego, toż to ogromny materiał.

Nędza tu była duża, rozdrobnione gospodarki, znikąd zarobku. W lasach jak zarobił na dwa kilogramy soli czarnej, bydłej (40 gr), bo innej do majdańskich sklepików nikt nie sprowadzał — to było dobrze.

Przypominam sobie opowieść innej tutejszej gospodyni, pani Dyjak, która od dziewiętego roku życia, od śmierci ojca, tułała się po służbach, pasła krowy, bawiła dzieci — za wyżywienie, za starą kapotę, dwie koszuliny. — Dobrze pamiętam, jakie to były biedne czasy! — to określenie korpulentnej kobiety utkwilo mi w pamięci.

— Wszystko to — ciągnie Marczak — przyprowadziło chłopów do rozpacz, strajku chwycili się jak deski ratunku. Toteż kiedy granatowi aresztowali trzech ludzi z czujki strajkowej, ogromne oburzenie ogarnęło wieś. Pod naciskiem chłopów, którzy zgromadzili się przed posterunkiem, aresztowanych zwolniono. Ale napięcie ciągle rosło, dochodziły wieści, że aresztowano zarząd powiatowy SL w Jarosławiu, chłopci chcieli ruszyć z odsieczą. Przez kilka dni trwała próba sił pomiędzy wsią a posterunkiem policji. Komendant szykując się do rozprawy, sprowadza posiłki z okolicznych posterunków (20 osób) i ze szkoły policyjnej w Mostach (96 ludzi). Znowu aresztowano dwu chłopów najaktywniejszych w strajku, tłum zgromadził się przed posterunkiem.

— Panie Marczak, proszę powiedzieć swoim ludziom, aby się rozeszli — zwraca się komendant.

— Ja nie mogę wydać takiego rozkazu!

Granatowi czekają: broń gotowa do strzału, w rowie przydrożnym CKM, po drugiej stronie drogi ludzie, mężczyźni, kobiety, dzieci. Jeden z policjantów uderza pałką kobietę, poszukującą dziecka. — Nie bij! — ogromny krzyk, który zagłuszał strzały. Padają zabici, ranni. Następuje ogólny popłoch, sądny dzień w Majdanie. Tak oto sanacja rozprawia się ze „zbuntowanym chłopstwem”, które żądało niewiele pracy, chleba, lepszej przyszłości dla swoich dzieci.

W kilka dni później ogromny kondukt pogrzebowy, 15 trumien. Cała wieś bierze udział w ostatniej drodze swych najbliższych. Tylko dwudziestu chłopów nieobecnych siedzi w sanacyjnym więzieniu...

Pacyfikacje hitlerowskich najmitów...

Nie ugiął się Majdan za okupacji. Pierwsze komórki konspiracyjne powstały już w 1940 roku. Wtedy też padły pierwsze ofiary. Później rozwinęły swą działalność konspiracje bechowska i akowska, obydwie blisko współdziałające z partyzantką radziecką. Tędy przechodziły legendarne oddziały Kowpaka, Werszyhory. Ten ostatni był tu przed kilku laty, witany jak stary przyjaciel przez mieszkańców Majdanu. Stąd tylko dwadzieścia kilometrów do Puszczy Solińskiej, owej republiki partyzanckiej. Za sprawą grup ruchu oporu z Majdanu wylatywały w powietrze mosty, puszczano z dymem posterunki ukraińskiej policji w pobliskich wsiach...

Ale za swą nieugiętą postawą, za pomoc udzielaną partyzantom Majdan zapłacił wysoką cenę. Trzy razy wpadały do wsi egzekucyjne plutony złożone bądź to z hitlerowców, bądź z wysługującej się im ukraińskiej policji i własowców. Mordowali na miejscu podejrzanych, deportowali do obozów. Ogółem zginęło 64 mieszkańców. Ojciec towarzyszącego mi w wędrowce po wsi kierownika Borka zginął w hitlerowskiej kaźni, w Zamościu...

... z Majdanu w świat!

Tak pozwoliłem sobie sparafrazować tytuł znakomitej książki autobiograficznej zmarłego niedawno świetnego historyka li-

teratury, Stanisława Pigionia. Jak znakomity znawca Fredry wyruszył przed laty z podkrośnieńskiej Komborni w świat, tak z dalekiego Majdanu wyjechał kiedyś na chłopskiej furce powszechnie dziś znany i ceniony chirurg - ortopeda, prof. Józef Gruca. Siedzę oto w czystości utrzymanej, niewielkiej izbie drewnianego domu, który jest własnością młodszego brata znakomitego lekarza, Jana Gruca i słucham jego opowieści.

Nie przelewał się w domu ojcowiskim, urodzaje kiepskie, rodzina duża, na cały dom były jedne buty. Tylko szczęśliwy przypadek sprawił, że Józef dostał się do gimnazjum. Pomógł mu ówczesny administrator dóbr Czartoryskich w Sieniawie.

Jakkolwiek zupełnie innymi drogami poszli profesorowie Pigoń i Gruca, można by daleko snuć analogie. Do dalekiego Jarosławia (40 km), przeważnie piechotą (bo nie stać go było na wydanie paru centów na okazyną furkę) chodził ojciec, niosąc synowi węzełek z białzną, żywnością. Podobnie rzecz się miała z prof. Pigionem, o czym pisze on pięknie na kartach „Z Komborni”...

Sędziwy chirurg, twórca niejako własnej szkoły w ortopedii, z pasją zajmuje się malarstwem, rzeźbą. Podziwiałem w domu jego brata w Majdanie akwarelowy autoportret profesora, a zwłaszcza wruszającą płaskorzeźbę głowy matki, której rys artysta odtworzył z pamięci. Bo nie zachowało się żadne zdjęcie, na którym byłaby utrwalona...

Pan Jan Gruca, jak dowiedziałem się później od agronoma gromadzkiego, pani Heleny Kuczek, należy do grona przodujących we wsi gospodarzy. W czasie wakacji w pracy na roli ofiarnie pomagają mu przebywający w świecie dwaj synowie. Jeden z nich poszedł w ślady sławnego stryja, jest również ortopeda...

Na drodze przemian...

Trudno mi jakoś jednoznacznie zbilansować wrażenia z Majdanu. Nie starczyło czasu by dotrzeć do rozrzuconych wśród podmokłych, piaszczystych pól i lasów przysiółków, aby porozmawiać z pracownikami GRN czy drugiej szkoły. Pani agronom mówiła mi, że prowadzona w Majdanie praca nad podniesieniem gospodarki rolnej daje konkretne wyniki. O tym, że sytuacja wsi zmieniła się radykalnie w porównaniu do czasów przedwojennych, wy-

kazywano mi na przykładzie wyższej stopy życiowej mieszkańców, którzy korzystają ze światła elektrycznego, z nowoczesnych maszyn rolniczych. Dzieci posyłają do pełno zorganizowanych, 8-klasowych szkół, blisko 100 spośród nich ukończyło po wojnie studia średnie, niektórzy wyższe, gdy przed wojną takich ludzi liczono na palcach jednej ręki...

Ale w porównaniu do standardu życia, do zamożności wsi o żyznych glebach czy też wsi, z których ludzie pracują w fabrykach, urzędach — Majdan znajduje się jeszcze na dalszym miejscu.

Jest w Majdanie (z racji sąsiedztwa nazywanym Sieniawskim), Dom Kultury, biblioteka, pracuje tu trzynastu nauczycieli, ale o życiu kulturalnym niewiele można powiedzieć. I kierownik szkoły nr 2 Borek, i szkoły nr 1 Bojarski, podejmowali pewne wysiłki, wystawiali nawet od przypadku do przypadku sztuki (Zemsta, Moralność pani Dulskiej, Zakochana Majstrowa), próbował coś Związek Młodzieży Wiejskiej — jednakże bez większych wyników. W życiu wsi szczególną i budzącą niepokój rolę, zwłaszcza żon, odgrywa barajencyjny, dostarczający niezawodnych środków „pobudzających”. Podobno kobiety z Majdanu zamierzają pisać tam, aby ten przybytek zamknięto. Tylko czy pociągnięcie takie cokolwiek zmieni? Pracujący na nieco innych zasadach klub książki i prasy „Ruch” splajtował z powodu zbyt małych obrotów. Coś tu trzeba zrobić, podjąć jakieś kroki, stworzyć, zwłaszcza dla młodzieży jakieś godziwe rozrywki, zainteresowania. W tej chwili barajencyjny jest jedyną możliwością... Sądzę, że również tymi sprawami powinny się zająć, notujące na innych odcinkach niemałe sukcesy, organizacje społeczno - polityczne. Myślę również, że w sposób bardziej energiczny winno się propagować współczesne, dające dobre metody gospodarowania.

A krwawe wydarzenia z 1937 roku upamiętnione zostaną w przyszłości, miejmy nadzieję już niedalekiej, pięknym, nowoczesnym gmachem szkolnym. Plany i założenia są już jak mi mówiono, gotowe, szkoła stanie w pobliżu kopca, usypanego przy wejździe do Majdanu Sieniawskiego w pięćsetną rocznicę wiktoria grunwaldzkiej. Będzie pomnikiem godnym naszych czasów!

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

„Musica Antiqua Europae Orientalis 1969“

W dniach 4-9 września br. odbędzie się w Bydgoszczy Festiwal Dawnej Muzyki Europy Środkowej i Wschodniej. O niektórych szczegółach tej międzynarodowej imprezy muzycznej poinformował bydgoskiego korespondenta PAP jeden z jej inicjatorów i główny organizator — dyrektor Filharmonii Pomorskiej im. Ignacego Paderewskiego w Bydgoszczy, mgr Andrzej Szwabke

— Dorobek Festiwalu Musica Antiqua Europae Orientalis z roku 1966 zainteresował specjalistów na całym świecie. Recenzje o festiwalu ukazały się w prasie i radiofoniach ZSRR, Anglii, Węgier, Jugosławii, NRF, USA. Dawne dzieła polskich mistrzów zaczęły się pojawiać w repertuarach zachodnich orkiestr i solistów. Rzecz jasna, że „zdobyte pozycje” można umacniać tylko przez częstsze, a jeszcze lepiej — przez systematyczne prezentowanie dzieł przeszłości muzycznej naszych krajów.

Prace nad przygotowaniem artystycznym i organizacyjnym tegorocznego festiwalu są w pełnym toku. Weźmie w nim udział 10 zespołów zagranicznych i 5 polskich. Na estradach festiwalowych wystąpią sławne kapele, orkiestry i chóry z Budapesztu, Lublany, Bratysławy, Moskwy, Erewania, Tbilisi i in. Wystąpią również świetni muzycy z Halle. Nie zabraknie i naszych doskonałych zespołów i chórów ze „Stuligroszem” na czele.

Doskonałym wprowadzeniem w atmosferę dawnej muzyki będą odczyty wygłaszane w dniach festiwalowych przez wybitnych specjalistów zagranicznych, przede wszystkim muzykologów, których zaprosiło Bydgoskie Towarzystwo Naukowe. Teksty ich wystąpień ukazały się w specjalnej księdze jeszcze przed rozpoczęciem festiwalu.

W mieście nad Brdą zorganizowana zostanie międzynarodowa wystawa pn. „Temat muzyczny w plastyce Europy Środkowej i Wschodniej”, bydgoscy aktorzy wystąpią z prapremierą polskiej sztuki renesansowej „Albertus z wojny”, w Książnicy Miejskiej urządzona będzie wystawa malarstwa renesansowego ze zbiorów polskich.

(K1-PAP)



Szkapa...

Fot. M. KOPEĆ

Dr inż. Józef Tyczyński

Wrażenia z sesji egzaminacyjnej

Zimową sesję egzaminacyjną na WSI wspominamy z różnym uczuciem. Przeżywalimy ją dość mocno, zarówno studenci, jak też i pedagodzy. Dlatego tak różne pozostały z niej wrażenia.

Ostatnia sesja egzaminacyjna różniła się nieco od poprzednich. Mniej było egzaminów, a główny nacisk w uzyskaniu zaliczenia lub wpisu do indeksu położono na wyniki bieżącej kontroli postępów w nauce.

Trudno powiedzieć, czy jednym zarządzeniem można obalić odwieczny zwyczaj przygotowywania się do egzaminów tuż przed sesją lub w czasie sesji i po prostu zmusić studenta do systematycznego uczenia się, jak to jest w szkole średniej. Nie o to chodzi. Chodzi mi o zaangażowanie bez reszty młodego człowieka, zarówno w czasie semestru, jak też i w czasie sesji, aby spełnił obowiązek dobrowolnie na siebie przyjęty. Wiadomo, że stosunkowo niewielka ilość przyjętych na pierwszy rok studiów dochodzi do dyplomu, a jeszcze mniejsza dochodzi w terminie.

Winę za ten stan rzeczy zwać można na różne przyczyny. Niektórzy twierdzą, że studia techniczne są ciężkie. Program studiów technicznych nakłada na studenta obowiązek przyswojenia sobie sporej ilości materiału. Wymaga to poświęcenia tymże studiom dużej ilości czasu o intensywnej pracy.

Faktem jest, że w Wyższej Szkole Inżynierskiej trzeba dużo pracować, by dojść do dyplomu. Materiał objęty programem jest obszerny, a czas studiów krótki, czteroletni. Przemysł naszego regionu potrzebuje wielu specjalistów. Nie można pozwolić sobie na nadmierne przedłużanie czasu studiów, zwłaszcza że za granicą studia techniczne nie trwają dłużej, a inżynierowie nie są gorzej przygotowani.

Uczelnia nasza jest młoda. Ambicją wszystkich jest, by zdobyła sobie wysoką pozycję wśród znanych w kraju. Można tego dokonać przez wysoki poziom wiedzy naszych wychowanków i dobre przygotowanie fachowców do podjęcia bezpośrednio po studiach samodzielnej pracy.

Można by dopatrywać się w tym pewnej sprzeczności. Podwyższając poziom, obniża się sprawność. Chyba tak nie jest. Wprawdzie ocena jest wymierna dopiero po jej wpisaniu do indeksu, ale każdy wpisuje ocenę taką, na jaką student zasłużył. Jeżeli kontroluje się prace studenta przez cały semestr, to ocena ta nie jest przypadkowa. Jest ona, można powiedzieć, miernikiem przyswojonych wiadomości.

Studenti nasi są średniozdolni. Bardzo rzadko spotkać można studenta wyróżniającego się. Jest to prawidłowość. Na takich ludziach opiera się przemysł. Natomiast z pracowitością bywa różnie.

Obserwuje się, że wielu młodych ludzi chciałoby dojść do dyplomu, ale przy najmniejszym wysiłku. Ich zachowanie, ich angażowanie się w obowiązki stwarza wrażenie, że nie zrobią nic więcej niż to, co jest niezbędne, to co muszą. Wyższa Szkoła Inżynierska jest szkołą wyższą. Przekraczając jej prógi, z uczenia przechodzi się na studiowanie. Wprawdzie subtelna, ale jest różnica między uczeniem się a studiowaniem.

Minimum posiadanych wiadomości, którymi student może wykazać się przed wykładawcą, przed egzaminatorem, upoważnia do postawienia oceny

dostatecznej, a jeżeli okaże się, że nie opanowało się nawet minimum wiadomości, wychodzi ocena niedostateczna. Stąd wydaje się, że nie będzie paradoksem twierdzenie — nie można mówić o wysokiej sprawności studiów, gdy toczy się między egzaminowanym, a egzaminatorem „walka” o najwyższą, możliwą ocenę, to jest o ocenę dostateczną.

Przeglądając indeksy, znajdujemy się w nich pod rząd oceny dostatecznej, rzadko kiedy oceny dobre, a wyjątkiem są bardzo dobre.

STU DIO WA NIE...

Zapytany o wrażenia z sesji egzaminacyjnej odpowiedziałbym, że są one bardzo różne: przyjemne, obojętne i bardzo złe. Tych pierwszych było niemiernie mało, drugich dużo, nie tak znowu dużo było wrażeń niemiłych, ale były.

Na niemiłe wrażenia złożyły się finały zaliczeń, lub egzaminów kiedy to egzaminowany wyczuwa, że nie będzie pozytywnej oceny, kiedy w jego oczach widać prośbę „panie! daj dostatecznie”. Gorzej, gdy egzaminowany posuwa się do prośby, a jeszcze gorzej, gdy ma lzy w oczach. Czyżbyśmy panowie tak szybko niewieścili? Dotychczas podobno ta słabość należała wyłącznie do kobiet. Tego rodzaju sytuacja niczego nie zmienia. Dobry egzaminator nie może być czuły ani na lzy, ani na biadolenie.

Do czego zmierzam? Do naszych młodych przyjaciół studentów kieruję apel o wydajniejszą pracę, w wyniku której można by podnieść oceny o jeden stopień wyżej. Zatem o skończenie z ocenami „państwowymi” — dostatecznymi. Nie byłoby wtedy szamotania się między oceną niedostateczną a dostateczną, a tylko wybór jednej z ocen przewidzianej regulaminem studiów.

Ktoś powie, że nie jest to takie łatwe. Istotnie, uzyskanie średniej oceny o jeden stopień wyżej wymaga sporo pracy. Istotnie pracy tylko jakiej? Uważam, że średnio zdolny student jest w stanie gładko przejść przez studia. Możliwość ta zaistnieje wówczas, gdy będzie on pracował wydajnie. Można wykonać określoną pracę w czasie społecznie uzasadnionym, można też wykonać ją w czasie chociażby 10-krotnie dłuższym. W tym jest właśnie sedno sprawy.

Okres studiów wyższych jest okresem najpiękniejszym w życiu. Tak mówią wszyscy, nawet ci, którzy studiowali w okresie powojennym, kiedy to naprawdę było głodno i chłodno. Nowe środowisko, nowi znajomi, mnóstwo przyjaciół, których przyjemnie spotkać nieraz po latach.

Ciężka praca, a mówię przecież o konieczności wydatnej pracy, może nadszarpnąć zdro-

wie i zabrać urok tego okresu życia. Nie chodzi mi o pracę ponad siły, ale o wydajną w całym tego słowa znaczeniu.

Studenti nasi — a pracując z nimi — mam możliwość obserwacji jak wykorzystują czas, są zasadniczo ciągle zajęci. Dzień ich obraca się wokół domu studenckiego, sal wykładowych i laboratoryjnych i stołówki. Student porusza się po bokach trójkąta, którego wierzchołkami są te miejsca. Mało korzystają z rozrywek wycieczek, sportu — poza obowiązkowymi zajęciami o charakterze sportowym.

Jak każdy obywatel, tak i student ma prawo do rozrywek i wypoczynku. Są one przecież konieczne. Należy zregenerować utracone siły. Bezwzględnie musi się wygospodarzyć w rozkładzie dnia, tygodnia, czasu na wypoczynek i rozrywkę. Niektórzy twierdzą, że na rozrywkę to już w Wyższej Szkole Inżynierskiej nie ma w żadnym przypadku czasu. O jakiejś wycieczce np. całonocnej w niedzielę nie ma co marzyć.

Upieram się jednak i twierdzę, że czasu jest dużo. Czas przeznaczony na naukę własną może być znacznie lepiej wykorzystany. Można osiągnąć lepsze oceny, wyższe w stosunku do obecnych o jeden stopień. Można go też okroić na korzyść rozrywek i wypoczynku.

Nasze domy studenckie nie grzeszą ciszą. Nie trzeba wchodzić do środka, by o tym się przekonać. Hałas nie pomaga w nauce, nie zezwala na całkowite, bez reszty, skierowanie swojej uwagi na zamierzoną czynność. Źródłem hałasu może być urządzenie techniczne i mieszkanie domu studenckiego. Jeżeli hałasuje, to nie uczy się. Odrobina ciszy potrzebna jest w naszych domach studenckich.

Twierdzę, że nadmierne utrudnienia domów studenckich nie pomagają w nauce. Aparaty radiowe, magnetofony, głośniki w każdym pokoju, częste komunikaty przez te głośniki, możliwość korzystania z telefonu nie pomagają, lecz utrudniają naukę, intensywną naukę. Podkreślam, że nie jestem przeciwnikiem aparatu radiowego i telefonu. Gdy piszę te słowa, do mieszkania wcisną się piekielny hałas ze stacji prób WSK, sądzę, że w przyszłości uciszą go nasi absolwenci. Nie jestem też przeciwny życiu towarzyskiemu naszych studentów. Wizyty powinno składać się jednak nie często i w określonych godzinach, taki jest zwyczaj. Pokoje w naszych domach studenckich są trójosobowe. Odwiedziny jednego z mieszkańców pokoju przeszkadzają w pracy nie tylko odwiedzanemu, ale i pozostałej dwójce. Jeżeli tak kolejno każdy z mieszkańców będzie przyjmował dość często gości, zabraknie wszystkim czasu na naukę. Odwiedziny są częste i liczne. Wystarczy krótki pobyt w hallu, by to stwierdzić.

Co dzieje się z czasem traconym, takim jak oczekiwanie w kolejce na posiłki, oczekiwanie na wizytę u dentysty, u lekarza itp. Nie widziałem, ani też nie słyszałem, by ten czas tracony, nie przynoszący żadnej korzyści, był przeznaczony np. na pamięciowe opanowanie wzorów, liczb i słówek lub też na studiowanie.

Niech nikogo moje wypowiedzi nie przerażają, szczególnie tych, którzy wybierają się próbować sił u nas w czasie egzaminu wstępnego. Czasem trzeba umieć gospodarzyć. Nade wszystko trzeba go umiejętnie wykorzystywać. Społeczeństwu niepotrzebny jest właściciel niezasłużonego dyplomu.



„Ruda” — JERZY SIENKIEWICZ

Andrzej Zabierowski

prośba o kwietne zaśnięcie

*nie życzymy starcom jeszcze roku
niedzieli
módlmy się za nich by skonali
jak ważka kończy krótkie loty
aby nie znali przepoconych pierzyn
i nie wołali
dłonie mamy co szklanki nie czują
bo zdrowie straciliśmy dla was
ale zasypiali kwietnie
o niedzielę wcześniej
o rok*



I studium uśmiechu

*włosy nad twoim czołem są jak ciosane
drewno
gdy kora odpryskami może powiekę drasnąć
i dzień zakończyć
a potem lży już nie z bólu będą
lecz z każdego dotknięcia dłoni
o przedmiot nawet obojętny
gdy dotkniesz mnie
wtedy
drgniesz
i usta zmarszczysz smugą nieufności
by kształt rozpoznać będzie już za późno
i tylko jeden uśmiech ci zostanie*

Ryszard Bilski Afrykański rejs

Za 30 równoleżnikami

(5)

Kapitan Lubański miał niełatwą minę. Wieści, które przekazał mi przez radiotelefon PZM-owski agent — Edward Wiater — osiady w Las Palmas od 8 miesięcy nie były najlepsze. Trzeba czekać na pilota, który wprowadzi nas do portu... kto wie jak długo.

Na redzie oprócz „Rzeszowa” stało na kotwicy kilkanaście innych jeszcze statków, były wśród nich japońskie, radzieckie bazy przetwórcze ryb i drobnicowe różnych bander. To będzie dopiero pech jak nas wprowadzą do portu w nocy, i rano każą odplywać.

Licząc na najgorsze, podziwialiśmy przez lornetki i na matówkach aparatów fotograficznych uzbrojonych w teleobiektywy pierwsze prawdziwie afrykańskie — w sensie geograficznym i ostatecznie na naszej trasie — europejskie z wyglądu — miasto.

Niecałą milę od burty statku, na którym panowało teraz ogólne rozleniwienie spowodowane najprawdopodobniej podzwrotnikowym klimatem, widać było tętniące życiem miasto, pędzące samochody, startujące i lądujące samoloty.

Po obiedzie dla zabicia czasu zarzucił do morza wędkę pierwszy mechanik. Po chwili miał już ceną zdobyc — małą rybkę afrykańską rybka. Pozadroszcili mu inni, bo przybywało nie tylko ryb w wiadrze, ale i rybaków. Zaczęli pomiędzy sobą rywalizować, kto więcej złowi? Górnik-emeryt, którego wszędzie pełno kibicował i podkarmił rybki nie zjedzonym wczoraj podwieczorkiem. Widząc to, druga strona burty wyspała do morza pozostałe z obiadu ziemniaki.

Finał rybobrania odbył się po kolacji, przy barku. Afrykańską „sielawę” zakrapiano doskonałą whisky — „Jasien Wędrowniczkim” (Johnnie Walker). Prawie do północy świętowano i fetowano udany połow. Kto wie, czy nie zorganizowano by dalszego ciągu zawodów przy świetle reflektorów, były już takie propozycje, gdyby nie niespodziewana wizyta kapitana...

— Za chwilę wpływamy do portu, jest pilot, załoga na stanowiska — a kiedy na sali zrobiło się prawie pusto — pozostali tylko pasażerowie — dodał, proszę się nie kłaść spać, jeśli zaraz zaczyna rozładowywać statek i rano trzeba będzie odplywać — zorganizujemy mocną wycieczkę po wyspie.

Szczęście nam jednak dopisało. Dokerzy wzięli się za „Rzeszów” dopiero rano.

Uzbrojeni w przepustki, tym razem koloru zielonego, ale również imienne, pobiegliśmy do najbliższego postoju taksówek. Trzeba było chwilę poczekać na Taxi-turismo. Nie nudziło nam się jednak, bowiem postój znajdował się tuż obok plaży, która o każdej porze roku ma powodzenie.

Prawie 500 peset (trochę więcej niż 7 dolarów) kosztował nas 2-godzinny objazd po wyspie. Rzecz jasna, zwiedziliśmy tylko część Grande Canaria, ale — jak zapewniał kierowca — przewodnik — tę najbardziej ciekawą i ładną. Przejechaliśmy prawie 70 kilometrów po wijących się ciałach w górę wąskich serpentynach.

Kierowca Taxi — turismo świetnie radził sobie nie tylko z kierowcą, ale okazał się również doskonałym przewodnikiem. Korzystaliśmy rzecz jasna z pomocy tłumacza — niezawodnego kapitana Lubańskiego. Często zatrzymywaliśmy się. Na najwyższych wzniesieniach witają turystów sprzedawcy pamiątek. Ceny są tu oczywiście wyższe niż na dole, w Las Palmas.

W Arucas wstąpiliśmy na małą czarną (cztery kawy kosztują aż jednego dolara) do wspaniałej urzędzonej Restauracji of Mountain. Lekka pawilonowa konstrukcja, szkło, isniąca kolorowa posadzka, dużo zieleni, palmy, agawy... na grubych liściach agaw wyrzeźbione „I love you” i inne pamiątkowe „rzeźby” wykonane przez turystów, głównie Skandynawów, Francuzów i Anglików. Trafiliśmy akurat na koncert regionalnego zespołu, który hiszpańsko-kanaryjskimi, gorącymi rytmami wital zziębniętych i wilgotnych chyba jeszcze od londyńskiej mgły mieszkańców Wysp Brytyjskich.

Las Palmas jest odwiedzane nie tylko przez wielkie „pasażery”, w sąsiedztwie „Rzeszowa” stały dwa duże tego typu statki; radziecki

„Aleksander Puszkina” z kompletem turystów angielskich oraz bułgarska „Warna” z towarzyszeniem raczej międzynarodowym (najwięcej było Niemców), lecz od chwili zablokowania Kanału Sueskiego również przez drobnicowce, tankowce i olbrzymie transportowce. Stąd taki tłok.

W Las Palmas statki zaopatrują się w słodką wodę, paliwo, oraz uzupełniają zapasy warzyw, owoców, które są tutaj bardzo tanie. Najwięcej jest bananów, odczuwamy to od tygodnia. Niemalże po każdym posiłku steward raczy nas tym podobno bardzo pożywnym, ale czy najsmaczniejszym (?) rarytasem.

Na Wyspy Kanaryjskie szycowaliśmy się niemal od początku rejsu. Z myśla o Las Palmas, gdzie można wszystko tanio kupić, oszczędzaliśmy skromny fundusz dewizowy. I oto teraz możemy zrealizować pielęgnowane marzenia... tranzystorowy magnetofon, radio, mówiąca i chodząca lalka... wszystko oczywiście „made in Japan”. Trudno przejść, żeby nie zatrzymać się chociaż na chwilę — przed wystawą nawet najmniejszego sklepiku. Ta chwila wystarczy sprytnemu sprzedawcy, sprytnemu i natrętnemu zarazem i... już jesteśmy wewnątrz magazynu. Z kupnem nie ma się jednak co śpieszyć. Kto szybko płaci — dwa razy płaci. Jeśli klient zaczyna grymasić, sprzedawca podsuwa kartkę, oddaje długopis i pyta w języku angielskim — ile chcesz zapłacić? Cenę wywoławczą dzielić trzeba przez dwa, a później kilka razy zrezygnować z kupna, odchodząc od lady. Zwykle przy trzecim odejściu transakcja dochodzi do skutku i turystyczne radio, trzyzakresowe z teleskopową anteną, za które zażądano od nas na początku 25 dolarów, kupujemy za 12 dolarów. Sklepy czynne są prawie do północy. Dosiłownie za pięć dwunasta można jeszcze kupić telewizor, aparat fotograficzny, czy też zapasowe baterie do tranzystorowych cudenek.

Właśnie, późnym wieczorem odwiedził „Rzeszów” i wyciągnął nas na spacer (panią magistrrolnik, kapitana i mnie) E. Wiater. Przemili człowiek, bardzo towarzyski i jak mówi kapitan Lubański — wspaniały organizator, motor działania hiszpańsko-polskiej spółki, zajmującej się obsługą przypluwających do Las Palmas statków. Pojechaliśmy pod „parasole” na małą czarną i korniaczek. W kawiarni przysiadł się do nas współpracownik polskiego agenta, Hiszpan o nazwisku Pako. Na rozmowach — co tam słychać w Szczecinie? Jakże wrażenia wycieczki z „Kanar”? — upłynął drugi i zarazem ostatni wieczór na Grande Canaria.

Tablica była trzy razy zmieniana. Najpierw statek miał odplynąć o godzinie 17, później 20, ostatecznie zaś ustalono, że o 24. Od nabrzeża odbiliśmy dopiero dwie godziny po północy. Wyspy Kanaryjskie zęgnęły nas tysiącami świateł, migotającymi neonami. Nikt jednak nie wychylił nosa z kabiny by popatrzeć na miasto, które nas tak... zmęczyło zakupami. Słychać było nastawione na cały regulator „Prezydenty”, miniaturowe magnetofony odtwarzające zapisane na żywo rozmowy z kolegami, hałas uliczny i wpadająca w ucho melodie z grających szaf.

W sobotę rano (8 lutego), zaczęła się na dobre plaża. Nasmarowani „Dermosanem” kuchenna oliwa, kremem „Nivea” — choć z tym ostatnim mazidłem poczynamy sobie oszczędnie, podobno w Lagosie za kilka pudełek można dostać maskę afrykańską — pasażerowie „Rzeszowa” ułożyli się na kocach, na najwyższym, najbliższym słońca pokładzie. Wieczorem, jak zwykle powodzenie miała lodówka. Dzisiaj jednak nie kielbasa i masło, nie dżem, lecz... śmietanka, którą łagodzone zbyt intensywną opalenizną.

Niedziela, 9 lutego. Jesteśmy nadal w morzu. Do najbliższego portu — Dakaru — więcej niż jeden dzień drogi. Marynarze znów się cieszą, bo jak już wiemy, niedziela w morzu — to jeden dzień urlopu na lądzie więcej.

Prawdziwy, autentyczny tropik. Ani jednej chmurki. Słońce grzeje niesamowicie. Pasażerowie paradują po kabinach, salonie — ładni, rzadziej zaś niż poprzedniego dnia po pokładzie — w jak



Las Palmas w... lutym.

najbliższych i najcieńszych ciuszkach. Oficerowie przywdziali supereleganckie, śnieżnobiałe, krótkie spodnie, wykrochmalone koszule z pagonami oznaczającymi stopnie.

Po podwieczorku statek zatrzymał się. Syrena obwieściła alarm. Tym razem dotyczył tylko załogi i na szczęście był próbnym. Cwiczone zakładanie plastra na uszkodzoną burzę. Zadanie wykonano sprawnie szybko i bezblednie. Akcja dowodził bosman Stanisław Sołdyk.

Finałem pierwszej, tropikalnej niedzieli była zgadują-zgadula, podczas której pasażerowie popisywali się znajomością spraw morskich, odpowiadał na pytania dotyczące budowy statku, działania poszczególnych mechanizmów. Zwyciężył Arkady Fiedler (Unior).

W poniedziałek, już od rana przygotowaliśmy się do spotkania z Dakarem. Drugi afrykański port na naszej trasie, ale zupełnie inny, niż poprzedni — Las Palmas. Tu egzotyka powitała nas już w osobie pilota wprowadzającego statek. To był prawdziwy, najprawdziwszy Murzyn. Senegalczyk, czarny jak smoła, w błękitnej czapce, która na jego głowie nabierała wyjątkowej białości.

Zdażyliśmy tylko zacumować i spuścić trap, kiedy statek obległo dziesiątki handlarzy. Dopatywali się o flanelowe koszule, krem „Nivea” i „Prastara”. W zamian oferowali senegalskie sandały, korale i rzeźby. To było drugie spotkanie z egzotyka.

RYSZARD BILSKI

Jan Urygiel

„Po przecieciu

Powszechnie wiadomo, iż mieszkańcy województwa rzeszowskiego produją w czynach społecznych. Wiadomo również, że wśród wielu obiektów zbudowanych dzięki zbiorowemu wysiłkowi mieszkańców wiosek i miasteczek większość stanowią placówki kulturalne — kluby, wiejskie domy kultury czy gromadzkie ośrodki kulturalne. Wznosi się je w wielkim trudzie, kosztem wielu wyrzeczeń, nieraz przez całe lata. Ile trzeba przy tym pokonać trudności, oporów, wydeptać ścieżkę za materiałami budowlanymi, dokumentacją, jak troszczyć się o tzw. nieładnie a fachowo, moc przerobową, najlepiej wiedzą ci, którzy taki czyn podjęli. Ślimaczę tempo budowy obiektu przynosi wzrost kosztów, niszczenie budulca i czasem w efekcie ostatecznym oddaje się do użytku budynek źle spełniający swą funkcję, gdyż projekt architektoniczny dobry 15 lat temu, dziś jest już przestarzały. Nie należy jednak dziwić się ludziom podejmującym ryzyko społecznego inwestowania. Budują przecież szkoły, ośrodki zdrowia czy dom kultury dla siebie i swoich dzieci, dla podniesienia rangi rodzinnej wsi... Dlatego uroczyste otwarcia nowych obiektów mają zawsze charakter podniosły i radosny, mieszkańcy wsi tłumnie zwiędzają nową placówkę, z dumą oglądają błyszczące parkiety, lakierowane drzwi, okna i nowe meble. A później okazuje się, że problemy i zmartwienia nie skończyły się po przecieciu wstęgi. To co z takim trudem się budowało, wymaga także trudu nadal. Trzeba placówkę konserwować, utrzymywać w czystości i trzeba się starać o to, by dobrze spełniała funkcję, do której została powołana. Przeważającym się dalszym losom takich obiektów na wybranych przykładach z powiatu krośnieńskiego.

W czasie rozmowy z p. Ziobrową, pracowniczką Wydziału Kultury Prez. PRN w Krośnie, dowiedziałem się, iż akcja budowy wiejskich domów kultury ma w tym powiecie szeroki zasięg i duży rozmach. W roku ubiegłym oddano do użytku nowe, duże placówki tego typu w Pietruszowej Woli, w Polance i Odrzykoniu, w roku 1967 w Komborniu... W Miejscu Piastowym, Barwinku, Bajdach, Wojasówce, Iwli, Iwonicy, Porebach, Dobieszynie takie obiekty są już prawie „pod wiechą” lub w stadium zaawansowanej budowy.

Wiejskie domy kultury czy domy ludowe powstają tu z nie mniejszym wysiłkiem i trudem niż gdzie indziej. W Odrzykoniu budowa trwała 16 lat (rozpoczęto

ją w 1952 r.) i przebiegała bardzo dramatycznie. Wskutek złych obliczeń i niefachowego dozoru technicznego runęły stropy prawie już gotowego gmachu. Sprawa znalazła swój epilog w sądzie — inspektor nadzoru został ukarany więzieniem. Koszt budowy zaplanowany na 3,5 miliona zł, wyniósł w wyniku tej katastrofy 5 milionów 293 tys. zł.

W Komborniu budowano dom ludowy 10 lat, kosztem 2 milionów 300 tys. zł. w Polance 11 lat (koszt 2,5 mln). Przyczyną tego nagminnego zjawiska wydłużania czasu budowy w inwestycjach społecznych są oczywiście. Nie zawsze przysięgają się do budowy z pełnym zabezpieczeniem wszystkich środków, czasem trzeba długo czekać na dofinansowanie czy materiały budowlane.

P. Ziobrowa skarży się także na trudności w prowadzeniu prawidłowej działalności oddanych już do użytku placówek. Wdziął Kultury otrzymał tylko jeden etat kierownika wiejskiego domu kultury na cały powiat. Trzeba się dobrze zastanowić, której gromadzie dać ten etat. Na razie otrzymał go gromadzki ośrodek kultury w Korczynie, ale zdaje się wybór nie był zbyt trafny, gdyż tamtejsza placówka nie legitymuje się aktywnością kulturalną. Krucho jest również z ryczałtami świetlicowymi, czy instruktorów artystycznych; można liczyć tylko na pracę Powiatowego Ośrodka Instrukcyjno-Metodowego i oczywiście także na zaangażowanie społeczne i aktywność miejscowych środowisk. Bo skoro stać ich było na społeczna budowę obiektów, to widać były im potrzebne i potrafią je wykorzystać.

Postanawiam przeladnąć się bliżej tym placówkom na miejscu.

Wkrótce stoje przed okazałym piętrowym budynkiem, dobrze wkomponowanym w podgórski krajobraz. Oprowadza mnie po jego pomieszczeniach sekretarz Prez. GRN. Budynek mieści w sobie biura Prez. GRN, bibliotekę gromadzka Klub Rolnika, urząd pocztowy i salę teatralną. Obszerny hall wykorzystuje się do gry w bilard i w ping-ponga. Niezbyt tu czysto i schludnie — ściany poobijane, posadzki i podłogi pozostawiają sporo do życzenia. Sala teatralna dość duża i jasna, ale jeszcze nie umeblovana, podłoga zasypiana niedopalkami papierosów, scena mała, pozbawiona zaplecza i podstawowych urządzeń scenicznych. Niełatwo tu się będzie pracowało jakleś zespołowi teatralnemu, gdy kiedyś taki tu powstanie, a o zaprosze-

Listy DO PRZYJACIELA

Rozsyłaliśmy się po świecie i tylko co jakiś czas dochodzą nas wieści, gdzie które pomieszcilo agendy życiowe, gdzie się zaaklimatyzowało. Wieści są naturalnie o sukcesach zawodowych. Wtedy najczęściej przypominamy sobie z trudem te Basie i Kaziki; ze zdziwieniem stwierdzamy: „a nie przecież nie obiecywało, że wysoko zajdzie”, albo jeśli osoba sławna była z kręgu lubianych i bliskich, wykrzykujemy triumfalnie: „zawsze było wiadomo, że piekielnie zdolna ta Baśka!”. I tak pamiętasz pewnie Jadzię K. — dziś w Paryżu zwaną Madame Kukutłumaczkę Anouilha, ambasadorkę polskiej literatury tamże; pamiętasz Kazika I. — dziś najznakomitszego polskiego seksuologa, kiedyś chłopaka dobrodusznego, niczym niezwykłym się nie odznaczającego; pamiętasz pyskatego Jurka R., który w kołysce czytywał Zeromskiego i szokował nas erudycją znakomicie połączoną z niepospolitą elokwencją

— dziś dyrektorzy on w wielkich zakładach chemicznych w B. na Śląsku (wyklócając się podobno ile wlezie o ludzkie sprawy); pamiętasz Wieśka o przepastnych oczach, małomównego, nietowarzystkiego — w świecie laserów dziś znane wielce nazwisko; pamiętasz Leszka U. harcerzyka komicznego, o panieńskiej, subtelnej urodzie i... krzywych nogach — dziś filmowca - taternik, którego filmy oglądamy z zapartym tchem? Rozsyła się ta nasza gromadka po świecie, ani przypuszczając, że te przedmaturalne „młodych Polaków rozmowy”, któreśmy wiodli zapalczywie i bez końca w nietypowej scenarii zarośniętej zielenią starej kopalni w połowie wieku dwudziestego, w jego równinnej połowie, za lat dziesiątek spełniła się i o ten dziesiątek lat postarzałi, zaczniemy oglądać się za siebie, siebie zapominając towarzysko — siebie przypominając właśnie poprzez zawodowe osiągnięcia.

wstęgi

niu np. teatru rzeszowskiego ze spektaklem w tych warunkach nie może być mowy. Mój rozmówca skarży się na kłopoty związane z utrzymaniem budynku. Prezydium GRN nie ma na to żadnych środków. W obiekcie zainstalowano np. urządzenia c.o., ale nie ma grosza na zapłacenie palaczowi. Nie ma także pieniędzy na opłacenie sprzątaniami, a wiadomo ile pracy wymaga utrzymanie czystości w takim gmazysku. Na każde nasze oróżby o uruchomienie limitów — mówi sekretarz — otrzymujemy odpowiedź: — społecznie zbudowaliście, społecznie utrzymujecie. A przecież, gdyby nawet udało nam się znaleźć kogoś, kto społecznie obsługiwałby centralne ogrzewanie, to i tak nie wolno byłoby mu palić pod kotłem. Pałac musi mieć uprawnienia do pełnienia zawodu i kwalifikacje. Bez nich nie wolno do kotła nikogo dopuścić. I chociaż zafundowaliśmy sobie nowoczesne urządzenie ogrzewnicze marzyliśmy całą zimę. Ubolewamy przez chwilę, iż tak trudne są drogi postępu cywilizacyjnego na wieś.

Okazuje się, że Prez. GRN znalazł sposób na zdobycie środków koniecznych do utrzymania Domu Ludowego, ale nie jest z niego zadowolony. Organizujemy zabawy taneczne — powiada sekretarz — i z dochodów płacimy za sprzątanie i konserwację urządzeń. Ale nie wiadomo czy nie więcej stąd szkody niż pożytku. Ostatnio w czasie zabawy zniszczono nam zupełnie 3 ustępy, porozbijano szyby... zabawy bardzo dewastują budynek. Trudno nie przyznać racji zatroskanemu sekretarzowi. Ma niełatwe życie z tymi troskami, tym bardziej iż wiele jeszcze czasu upłynie nim wszyscy mieszkańcy Komborni nauczą się z większym szacunkiem odnosić do owocu własnego trudu — nie będą śmiecić, brudzić, niszczyć urządzeń i sprzętu.

Wracając z Komborni zatrzymuję się po drodze w Korczynie. Trzeba i tu obejrzeć gromadzką ośrodek kultury, chociaż nie należy do najnowszych — działa już dość długo. Jest godzina 16, wędruję po całym budynku na próżno szukając w nim jakiegokolwiek człowieka. Nie ma nigdzie nikogo. Klatka schodowa brudna i poobijana, pod schodami wielkie usypisko śmieci, papierzyków, gruzu, na górze, w otwartej sali z napisem „sala wykładowa — świetlica”, pełno starych, kulawych ławek szkolnych, jakichś archaicznych sprzętów, tablica z informacją o Ali i kocie oraz pełno dziwnych bubli na szafach i w kątach — jakieś resztki kostiumów, instrumenty muzyczne, polamane stołki... Na to wszystko

z melancholią spogląda z szafy figurka świętego Floriana, patrona gospodarzy tego obiektu kulturalnego. Odszedłem stamtąd bez jakiegokolwiek informacji o działalności placówki, nie obejrzałem biblioteki, sali widowiskowej i innych pomieszczeń... Mimo to widziałem dostatecznie dużo.

I wreszcie ostatni etap tego krótkiego rekonesansu — Odrzykoń. Dwupiętrowy gmach Domu Ludowego imponuje rozmachem, wielkością, wysokością... Jest chyba większy od największych powiatowych domów kultury w województwie i koncentruje w swym wnętrzu wszystkie placówki życia społecznego wsi. Mieści się w nim poczta, biura Prez. GRN, ośrodek zdrowia, klub rolnika, straż pożarna (łącznie z garażem), ognisko muzyczne, biblioteka gromadzka, dwie świetlice, wielka sala teatralna i nawet sklep spożywczy. Okazuje się, że nie mam szczęścia do informatorów. Gmaszysko strasznie puste, mimo iż jest godzina 17, czyli pora, w której coś się już tutaj powinno dziać.

To, co zastaję w Komborni, Korczynie i Odrzykońiu raz jeszcze potwierdziło moje wcześniejsze obserwacje. Nie najlepiej się dzieje w wielu placówkach kulturalnych na wsi po przecięciu wstęgi.

Dlatego tak często nowo oddane do użytku wiejskie domy kultury po upływie roku lub dwu przerażają poobijanymi ścianami, połamanymi meblami, uszkodzonymi urządzeniami i niechlujnością najbliższego otoczenia. Ale nie zawsze istnieją realne możliwości społeczne go utrzymywania obiektu w należytym stanie. Pół biedy, gdy we wsi znajduje się kilka zakładów pracy, takich np. jak POM, GS, SUW czy jakieś inne przedsiębiorstwa przemysłu terenowego. Wtedy w ramach koordynacji działania mogą się one opodatkować na rzecz finansowania działalności i kosztów utrzymania swojego gromadzkiego ośrodka kultury. Ale jeśli takie rozwiązanie sprawy jest niemożliwe, jeśli cały ciężar spada na barki Prez. GRN, trzeba mu zagwarantować środki finansowe na te cele. Gdy się rzekło A trzeba powiedzieć i B, jak mówi stare porzekadło. Czyż tak olbrzymi wysiłek społeczny ma się powoli marnować, czy po to wznosi się w wioskach i miasteczkach piękne obiekty kulturalne, by straszły jako „martwe domy”? Głosuję za ryczałtami dla wiejskich domów kultury w tych miejscowościach, w których to konieczne, nawet kosztem miejskich placówek kulturalnych. Na to muszą się pieniądze znaleźć. Głosuję za szeroką akcją wychowawczą w środowiskach wiejskich, która pomogłaby przekonać wszystkich mieszkańców wielu jeszcze miejscowości w kraju, że ich dom kultury zasługuje na lepsze niż dotąd traktowanie, że świadczy o ich kulturze osobistej i szacunku dla swojego własnego trudu. O merytorycznej działalności tych placówek będziemy mówić w następnych naszych publikacjach.

PO PROSTU KOBIETA

... należą do rodziny włóczęgów, do takich co muszą wędrować po świecie. Ktoś z takich jak ja powiedział kiedyś: „nas dal woła” (...). Są włóczędzy, którzy siedzą na miejscu, a podróżują daleko...”.

Moja rozmówczyni zamknęła książkę. Te ostatnie przeczytane słowa z dramatu J. Szaniawskiego były także zamknięciem i podsumowaniem kilku rozmów, a raczej kilku luźnych opowiadań i refleksji kobiety o miękim, a zarazem dźwięcznym głosie. Wsluchując się w starannie, z nienaganną dykcją wypowiedziane zdania — zrozumiałam, że ta niezamierzona, a prawie szczerza sytuacja lakonicznie pointuje sens działań jej wielu lat życia.

Kobieta jak tysiące innych; przeszła zgodnie z prawami natury i następstwem czasu etapy losu: beztroskiego dzieciństwa, młodości, małżeńskich trosk i radości, kłopotów w wychowaniu dzieci i już... wnuczek. Obok zwykle domowe zajęcia.

*

Czas zdradzić tajemnicę. Panią Celinę Heller z Boguchwały pierwszy raz spotkałam na jednym z ogólnopolskich konkursów recytatorskich. W młodzieżowym tłumie mogła zastanawiać obecność dojrzałej kobiety, dopóki nie posłuchała się fragmentu z „Poziomki” Iwaszkiewicza, czy „Ewy” Szaniawskiego w jej delikatnej, a równocześnie sugestywnej interpretacji.

Systematycznie na konkursach recytuje już od dziesięciu lat, przechodząc eliminacje powiatowe, wojewódzkie, dostając się kilka razy na centralne. I tu utrzymuje się w czołówce najlepszych. Wprawdzie spotkała się już nieraz z zarzutami, że jej sztuka recytacji nie cechuje postęp w poszukiwaniu nowych środków wyrazu i klasyczna interpretacja jest przeżytkiem — ale jednocześnie nikt nie może nie uznać, iż Celina Heller reprezentuje swoisty, indywidualny styl. Najbardziej chyba imponuje odwaga, pasja i duże umiejętności kobiety mającej na głowie dom z problemami i problemami w wygospodarowaniu czasu dla tych osobliwych zainteresowań.

— Moje wyznaczenie rozśmieszy wielu — ale ja naprawdę nie mogłabym żyć bez odnajdywania

sensu w poezji, książce, w teatrze i bez przekazywania tej wartości innym. To pomaga w pewnych okolicznościach, może przynieść ulgę. Swego rodzaju pożyteczna narkoza.

Jakby na potwierdzenie odwołuje się p. Celina do przeszłości. Ile to było momentów, w których mógł się człowiek załamać. W 1939 roku zdała maturę. Należała do tych co nie zdążyli przez kataklizm wojenny nacieszyć się autentyczną, szaloną młodością. Podczas bombardowania w piwnicy, tym, którzy zwątpili już we wszystko, recytowała poezję Słowackiego. Po tej modlitwie wracała wiara w życie, w polskość. Potem pierwsza tragedia u schyłku wojny Celiny — matki po śmierci pierwszego

dziecka. Potrafiła dźwignąć się po razach nieszczęść, umiała żyć w rzeczywistości, umiała znajdować i sięgać po wartości z kręgu literatury i sztuki. Zawsze znajdowała czas, aby zorganizować gdziekolwiek była zespół teatralny, koło miłośników poezji, czynna była w przeróżnych sekcjach sportowych: szermierka, tenis, siatkówka, jeździectwo. Zachłannie korzystała z tych „marginesów” życia, dawała dużo z siebie, nic więc dziwnego, że w starciu z codziennymi, nielekimi obowiązkami przynosiło to uszczerbek zdrowiu. Ale i w sanatoriach korzystała z aktywnego relaksu, jednocześnie dając kawałek bezinteresownej, dobrej kulturalnej roboty dla chorych,

(Ciąg dalszy na str. 6)



Fot. MARA

Nie o tym jednak chciałam — drogi mój — aliści babskie rozgadanie węż pod uwagę i dzień babski, w którym to czytać będzie. Chciałam o innych naszych przyjaciółkach, których może nie pamiętasz, a mnie nazło to wspomnienie właśnie z powodu dnia babskiego. Bo nie pamiętasz za dobrze Haliny Ł., Krysi P., Loli B. — tej trójki nierozłączek, które nawet ze studiów zrezygnowały w jednym dniu, w jednym mniej więcej czasie: kiedy nie „wyszła” po prostu pierwsza sesja egzaminacyjna. Panny spokojnie walizki, nadały na bagaż koldry i wróciły w wyludnione z przyjaciół miasto. Potem wyszły za mąż, miały dzieci i definitywnie zniknęły z naszego życia. Po latach jedną z nich odwiedziłam.

Czy znasz to uczucie, kiedy wszystko, co mówisz nabiera podwójnych, dwuznacznych sensów i jest nie na miejscu? Taką była właśnie ta moja niedawna wizyta.

Siedziały obok siebie dwie kobiety dwoma językami mówiące, oddalone od siebie o lata świetlne, choć próbujące, bezustannie próbujące wtargnąć z powrotem w przedmaturalną zażyłość, tamte nadzieje, plany, spory. Jak zwykle zaczęłyśmy od wspomnień typu „a wiesz, co Jurek robi, że się ożenił, ma samochód, był w Paryżu”, ale po paru takich wymienionych, którzy się ożenili i byli w Paryżu,

nagle do mych uszu dotarł monotonny refren: „a ja tu siedzę i co?”. Tak rzeczwiście, siedziała i co? Chyba nie. Chyba naturalnie, że siedziała, też posłubiona młodemu człowiekowi, z dwójkiem dzieci własnych, własnym M-3, nie luksusowym, lecz przyzwoitym i po prostu była smutna, nieco zawistna, gorzko rozpamiętująca piątkę z polskiego i dobry uśmiech łacinički. Poza nie wyjść nie chciała ani potrafiła. Więc odniosłam takie wrażenie, że czas cofnął się i stanął potem, choć przeczyły temu nasze twarze, ta plątająca się wokół stołu dwójka najmłodszych i wspominki o Madame Kuku — paryskiej najszej Zagłębiance.

Jeszcze raz próbowałam uratować tę rozmowę miłym zapewne jej wspomnieniem o konkursie recytatorskim, w którym zagarnęła (widzę ją jeszcze triumfatorce) pierwszą nagrodę i... wtedy dopiero się zaczęło. Piekielno udręczeń, urazy, niechęci do siebie, milczącej do tej pory goryczy. Opowieść o szarości dni, smutkach samotnej kobiety, o mężu, który jest 12 godzin poza domem, a pozostałe 12 podzielił między sen i gazetę, o garnkach, praniu, cerowaniu, kłopotach szkolnych z najstarszym, kłopotach domowych z najmłodszym, o kolejkach po zakupy, o puchnących stopach, o polamanych paznokciach, o telewizorze na raty, o braku futra, o cenach mięsa, o

urwanej nodze od wanny, gnijących ziemniakach w piwnicy — o tej wielkiej samotności kobiety wśród małych gryzących spraw, które rosną z roku na rok, panoszą się wokół niej, przywalają skrzeczącą pospolitością, drążą, dręczą, zacierają życiowe proporcje, odsuwają od świata.

Znalesz ją, jak ja, dobrze. Efektowna, duża panna o pięknym głosie, chochlikach wesołości w oczach, cała utkana z ironii oraz radosnej gotowości do szkolnych kawałów. Była wstrapieniem wychowawców — zdolna, krapna, powszechnie lubiana.

Po piętnastu latach to już tylko nie stara — stara kobieta, postarzała niedobrą starością, która nie wyklucza jeszcze stroju mini, absolutnie i nieodwracalnie wykluczającą chęć do życia.

Znam wiele takich kobiet. Gorzkich ponad miarę wyznaczoną ich wiekowi, zniechęconych, odwróconych tyłem do życia właściwego, nieudolnie ciągnących to życie przez nie same stworzone. Kiedyś tam, w jakimś niestosownym punkcie życia raz wypadły z obiegu i już nigdy nie umiały powrócić na właściwą ścieżkę, klucząc samotnie, budując z goryczy zasieki nie do przebycia, poturbowanych losem, przywalonych rodziną, nie dających, co naj-

okropniejsze, tej rodzinie dla której są, istnieją, cienia radości. Uciekają od nich mężowie w pracę i kolegów; dzieci chronią się w milczącą samowystarczalność, często niechęć — a one z męczeństwem podejmują trudy dnia, z dzikim uporem czyszczą parkiety, skrobią kartofle, komponują coraz nowe leguminy i żalują młodości, przeklinają własne decyzje i własne wybory drogi życiowej, bądz ludzi na tej drodze spotkanych. Jeśli zetkną się z życiową duszą — robią wszystko, by ją do siebie zniechęcić. Bo one chcą być same. Nie umieją wejść w życie ponownie, nie potrafią naprawić tego, co raz same spartaczyły, bądz — co raz, dawno, kiedyś przez coś tam samo się spartaczyło. I przepływa obok nich życie, jak ponętny niezajomy, otoczony rojem kobiet powabnych, stale młodych, którym kupuje się kwiaty.

Mówisz — niech pracują! Ależ tak, one pracują, często ponad siły, bo dom wchłonie każdą pracę. Rzecz w tym, że nie każda praca w darze mu składana jest niezbędna dla porządku rodzinnego; że właśnie rolę kobiety jest dokonać wyboru, co konieczne, niezbędne, a co bywa tylko stratą sił, co powoduje narastanie gorzkiego zbuntowania, przyzywająca do jarzma, ogłupia. I zgodzisz się chyba ze mną, że owa nieumie-

jętność ustawienia siebie w społeczności rodzinnej, owa z góry założona rezygnacja, że jest po to, by służyć domowi, czyni z kobiety element często niszczący harmonię rodzinnego ładu. Bo na ogół nie lubicie — Panie Mężczyzno — patrzeć na udręczone twarze i odsuwacie wtedy najstarszą leguminę, przedkładając nad specjal kulinarny nieśmiertelnego schaboszczaka, spożytego w miłym knajpiowym rozgwarze. I nie zdarzyło się, by wam bardziej smakował rosół z makaronem tylko dlatego, że żoncie go przyrzadzającej spuchły nogi i oparzyła rękę odciekając w durzłaku ten makaron. I nie zdarzyło się pewnie, byście czego w menu rodzinnego stołu nie skrytykowali ot tak, dla zasady, że niedobrze rozpieszczą kobietę.

Rozważ to sobie bodaj troszkę, gdy swojej Ewie będziesz zaparzał dziś herbatę i oblejesz się wrzątkiem, gdy będziesz smażył jej jajecznicę i jako znieznacka rozbite wskoczysz ci do kieszonki z wypustką, gdy Cię krzyże zabolą od zmywania naczyń, zamiatania podłogi, a wieczorem ze zmęczenia przestaniesz ci smakować wiadomość, że Legia Ruchowi wkopala dwie bramki. Rozważ i nie żałuj, żeś zbyt wcześnie, bo przed dostaniem mego listu, zamówił kwiatek przewrotniej przyjaciółce...

KRYSTYNA

Kultura polska na świecie

Prasa radziecka
o Jarosławie Iwaszkiewiczu

MOSKWA (gk). W związku z 75 rocznicą urodzin Jarosława Iwaszkiewicza, o twórczości i działalności społecznej autora „Sławy i chwaly” pisze w jednym z ostatnich numerów gazety „Izwestia” O. Stroganow. Artykuł opatrzony zdjęciem jubilatą nosi tytuł „Pisarz, którego lubi naród”.

„Potop” Sienkiewicza po rumuńsku

BUKARESZT (hf). Nakładem Wydawnictwa Literaturnego w Bukareszcie ukazał się pierwszy pełny rumuński przekład „Potopu” Sienkiewicza. Powieść wydana w jednej z najpopularniejszych serii edytorstwa w Rumunii — „Biblioteka dla wszystkich”, w nakładzie ponad 150 tys. egzemplarzy. Autorką przekładu, przedmowy oraz przypisów jest Olga Zajczak.

Wystawa tkanin polskich artystów

AMSTERDAM (jk). W Stedelijk Museum w Amsterdamie eksponowane są tkaniny artystyczne Magdaleny Abakanowicz i Wojciecha Sadleira. W połowie stycznia br. odbyło się otwarcie wystawy tkanin Magdaleny Abakanowicz w Mannheim w NRD. Poprzednio wystawa ta odwiedziła Szwajcarię.

„Wspaniała orkiestra”

PARYŻ (zk). Występy zespołu kameralistów Filharmonii Narodowej w Paryżu spotkały się z bardzo serdecz-

nym przyjęciem przez publiczność oraz nie mniej pochlebnymi recenzjami. Dziennik „Le Monde” pisze o „wspaniałej orkiestrze”, zwracając uwagę, że członkom zespołu „udaje się zerwać z rodzajem anonimatu muzyki zwanej „rozrywkowa” że nadają oni każdemu dziełu odpowiedni intymny rezonans”. Podkreśla również doskonałe zgranie, które jednak nie przechodzi w rodzaj „konfekcji do słuchania”, ale „zawiera niedostrzeganą dowolność, która stanowi istotę sztuki”.

„Czterej pancerni” w ZSRR

MOSKWA (gk). Ogromnym powodzeniem wśród widzów radzieckich cieszyła się wyświetlana tam seria TV „Czterej pancerni i pies” wg powieści Janusza Przymanowskiego. Przypominając o tym tygodnik „Niedziela” opublikował ostatnio obszerny fragment ze znajdującego się w druku drugiego tomu opowieści o „czterech pancernych” w tłumaczeniu A. Granata.

Józef Wilkomirski
dyrygował w Jugostawii

BELGRAD (hf). Dyrektor Filharmonii Szczecińskiej Józef Wilkomirski poprowadził cykl koncertów w Belgradzie i Lublanie. Na program zostały się utwory Ravela oraz II Symfonia Lutosławskiego.

„Dama z laszczką”
na znaczkach panamskich

PANAMA (bk). Republika Panama wydała serię ośmiu znaczków po-

święconą zwierzętom w malarstwie. Na jednym z znaczków znalazła się słynna „Dama z laszczką” Leonarda da Vinci (nazywają również ten obraz „Damią z gronostajem”). Dzieło wielkiego malarza znajduje się w Polsce w Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

Polska sztuka
na scenie moskiewskiej

MOSKWA (jk). Sztukę Jerzego Brodzkiewicza „Dwie przygody Lemuela Guliwera” zaprezentował Studencki Teatr Miniatur Uniwersytetu Moskiewskiego. Na wielu scenach radzieckich wystawiana już była inna sztuka Brodzkiewicza — „Skandal w Hellbergu”.

„Moje przygody łowieckie” Ejsmonta
w NRD

BERLIN (bk). Nakładem wydawnictwa Albert Holtz ukazał się w NRD w 10-tysięcznym nakładzie tom opowiadań Juliana Ejsmonta „Moje przygody łowieckie”. Tłumaczył Viktor Mika.

O PTŻ w Paryżu

PARYŻ (pw). W paryskim teatrze „L'Entrepôt” odbyła się premiera „Spadkobierców” Szolem Aleichema w adaptacji i reżyserii Jakuba Rotbama, reżysera Państwowego Teatru Żydowskiego w Warszawie i teatrów dramatycznych we Wrocławiu.

Z tej okazji tygodnik „Presse Nouvelle” zamieścił wywiad z J. Rotbaumem, w którym omówił on m. in. aktualną sytuację i zadania PTŻ w Warszawie.

Powieść T. Hołuja
po rosyjsku

MOSKWA (gk). Nakładem wydawnictwa „Progress” ukazała się w Związku Radzieckim powieść Tadeusza Hołuja „Człowiek stamtąd”. Przekład A. Granata.

Recitale Jerzego Godziszewskiego
we Włoszech

RZYM (hf). W kilku miastach włoskich dał recitale Jerzy Godziszewski. Pianista grał utwory Chopina, Szymanowskiego i Ravela.

Opowiadania K. Brandysa w NRD

BERLIN (bk). W NRD-owskim wydawnictwie Volk und Welt ukazał się tom opowiadań Kazimierza Brandysa. Tłumaczeniami utworów polskiego pisarza na język niemiecki są: Henryk Bereska, Judita Janke, Kurt Kelm, Hans Loose i Cezary Rymarowicz.

Debiut polskiego reżysera
na Syberii

IRKUCK (hf). Na najstarszej scenie syberyjskiej — w Teatrze Dramatycznym w Irkucku odbył się debiut młodego polskiego reżysera, absolwentki Instytutu Sztuki Teatralnej w Moskwie — Matyldy Krygier. Program spektaklu zatytułowanego „Wesela” wypełniły jednoaktówki Antoniego Czechowa, Bertolta Brechta i Michała Zoszczeki. Oprawę scenograficzną zaprojektował — Waldemar Krygier, który również studiował w moskiewskim Instytucie Sztuki Teatralnej.

„Ziemia słonych skał”
po niemiecku

BERLIN (bk). „Ziemia słonych skał” Stanisława Supłatowicza doczekała się kolejnego wydania za granicą. Ostatnio książka ukazała się w NRD w przekładzie Ruprecht Wilnowa; opublikowało ją wydawnictwo Neues Leben.

(Kt — PAP)

PO PROSTU KOBIETA

(Ciąg dalszy ze str. 5)

rekonwalescentów i wczasowiczów.

Na co dzień w Boguchwałę prowadzi świetlicę. Tu uruchomiła najpierw teatrzyk kukielkowy, potem dziecięcy zespół dramatyczny. Sama też od lat jako aktorka amatorskiego teatru przy Domu Kultury WSK — dojeżdża do Rzeszowa raz w tygodniu na próby.

— Jak przyjmuje to kulturalne udzielanie się Pani najbliższe otoczenie i rodzina?

— Różnie. Niektórzy wykazują postawę ignorancką: „Hellerową ogarnęły artystyczne dziwactwa — żyje w scenarii dworu, dziękuję parku i natchnień księżycu, nie ma innej drogi do roboty...”

A pani Celinie wychodzi to między innymi dlatego, że potrafi do maksimum wykorzystać każdą minutę uwijając się w domowym gospodarstwie.

Krzysztof Ruszel

Nowe wydawnictwo etnograficzne

W sierpniu 1962 roku w kilku księżach i przysiółkach północnego skraj Puszcz Sandomierskiej, Dział Etnograficzny Muzeum w Rzeszowie przeprowadził wielodniowe badania naukowe. Kierownikiem obozu z bazą w Dzikowie k. Tarnobrzega, jednego z siedemnastu zorganizowanych do chwili obecnej, był niestrudzony badacz rzeszowskiej kultury ludowej doc. F. Kotula. Kiedy na początku tej pożytecznej akcji zastanawiano się nad doбором terenów, które winny być w pierwszym rzędzie przebadane, na czoło wysunęto wsie, których tradycyjna kultura ludowa narażona jest w większym niż gdzie indziej stopniu na niwelujące wpływy rozwijających się ośrodków przemysłowych i miejskich. Wybór więc terenów leżących w okolicach Tarnobrzega, silnie rozwijającego się ośrodka przemysłu siarkowego, oddziaływającego na najbliższy teren i przyspieszającego i tak już szybkie tempo przeobrażeń kulturowych wsi w Polsce Ludowej, wpływał więc z rzetelnej troski uchronienia przed zapomnieniem dorobku kulturowego, wypracowanego przez pokolenie bytujące w trudnych warunkach osadnictwa puszczańskiego. Ostatnia to bowiem pora dokumentacji tego co dawne w kulturze wsi, gdyż żyje jeszcze ostatnie pokolenie pamiętające, jak gospodarowano w ich młodości, w co się ubierano, jak przebieg miały wesela czy inne zwyczaje. Doc. Kotula często nazywa takich ludzi „archiwami ludowymi”. Pełną dokumentację „zawartości” archiwum tego rodzaju, przynosił zbiorowy plon badań w Tarnobrzęskim, pierwszy tom nowej serii wydawniczej Muzeum w Rzeszowie pt. „Prace i Materiały z badań etnograficznych Ośrodka Mokrzeszowsko-Grebowskiego, w pow. tarnobrzęskim” (Rzeszów 1962). Wprawdzie zamieszczono w nim artykuł doskonałego znawcy dziejów północnej części Puszczy, oparty na bogato wykorzystanych materiałach historycznych przechowywanych w archiwach, lecz zaraz po nim odnajdujemy reportaż etnograficzny F. Kotuli, zawierający sporo uwag odnoszących się do historii tego regionu, którą autor rekonstruuje w oparciu o tradycję ludową. Zdumiewa zbieżność osiągniętych rezultatów świadczące niezbicie o dużych wartościach poznawczych „archiwum ludowego”. Często wiadomości wydobyte z ludzkiej pamięci odpowiednio zweryfikowane i odczytane, mogą powiedzieć znacznie więcej niż zmusne badanie archiwaliów historycznych. Prawie wyłącznie z „archiwum ludowego” korzystała S. Darlakowa dokumentując w sposób pełny zwyczaje i obrzędy doroczne oraz rodzinne — także znany poeta J. B. Ożóg piszący o literaturze ludowej okolic Tarnobrzega czy B. Linette podsumowujący

swoje badania nad folklorem muzycznym. Spore trudności w badaniach musiał napotkać S. Rak, zbierający materiały do przynależącego wiele interesujących spostrzeżeń artykułu o magii w leśnictwie ludowym. Ta część wiedzy zaliczana zwykle do tajemnej, niechętnie bywa przekazywana komukolwiek, gdyż powszechnym jest przekonanie, że wpływa to ujemnie na skuteczność stosowanych zabiegów. Nieco bogatszą bazą źródłową dysponowali piszący o budownictwie S. Lew i strój T. Szetela. Poszerzało ją szereg zachowanych obiektów tradycyjnego budownictwa czy elementów stroju, co było obok przeprowadzonych wywiadów podstawą bogato dokumentowanych fotograficznie i rysunkowo artykułów. Zwłaszcza artykuł T. Szeteli o stroju na obszarze Ośrodka Mokrzeszowsko-Grebowskiego — nosi charakter ważnego przyczynka do badań kostiumologicznych nie opracowanego jeszcze pod tym względem obszaru Puszczy Sandomierskiej. Dobrze się też stało, że A. Zyga redaktor tomu opatrzył go wstępem, w którym podsumował niejako dotychczasowy dorobek badawczy w naukowym poznaniu terenów Puszczy Sandomierskiej, odsyłając jednocześnie czytelnika do w miarę pełnego zestawu bibliograficznego prac o kulturze interesującego nas obszaru. I wreszcie co trzeba podnieść, uderza wysokim poziomem oprawa plastyczna „Prac i Materiałów” (okładka, obwoluta, przedwki) będące dziełem B. Sierżęgi i A. Trzyny i nowych rzeszowskich zakładów graficznych, które nadały tomowi kształt ostateczny. Wydaje się, że jest to jedna z najpiękniej wydanych książek w Rzeszowie. Ale wracając do celu publikacji, którym było, jak pisze w Przedmowie doc. F. Kotula: „na podstawie zebranych i opracowanych materiałów ukazać różnorodność i bogactwo zanikającej kultury ludowej w wybranej grupie lasowiackiej — Ośrodka Mokrzeszowsko-Grebowskiego, a także udostępnić je społeczeństwu a specjalnie młodzieży zarówno tej, która pozostaje na wsi, jak i tej, która ją opuściła, aby nie zapomnieli o pięknych tradycjach przodków”, trzeba stwierdzić, że został w pełni osiągnięty. Oczekiwać należy dalszych tomów tej nowej wielce pożytecznej i potrzebnej serii wydawniczej Muzeum w Rzeszowie, które udostępnią bogate zasoby archiwum Działu Etnograficznego tej placówki, zebrane w trudzie siedemnastu obozów naukowo-badawczych, które siatką miejscowości przebadanych pokryły już prawie cały obszar woj. rzeszowskiego.



Prezes otworzył posiedzenie i powiedział, że należy omówić problem wynagrodzeń, należy to i owo zmienić, by wszyscy członkowie załogi byli zadowoleni.

Księgowy oświadczył, że w bieżącym kwartale istnieje możliwość podwyższenia miesięcznych poborów o sto złotych na głowę.

Głos zabrał przedstawiciel załogi. Powiedział on, że sto złotych nikogo nie wzbogaci i trudno powiedzieć, czy wszyscy będą zadowoleni. Może byłoby lepiej zacząć jeszcze z tą podwyżką, a tymczasem obniżyć o sto złotych pobory Kowalskiemu. Kowalski nie straci wiele, a ludzie będą zadowoleni, bo Kowalskiego nikt nie lubi. Księgowy i personalny wymyślą coś, żeby to uzasadnić urzędowo.

Pomysł nie był zły i uchwaliliśmy go jednogłośnie.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł jakiś nieznanemu pan z baczkami, w dziwacznych szatach, z papierową koroną na głowie.

Prezes zwrócił uwagę nieznanemu, żeby wyszedł, bo tu się odbywa posiedzenie i wszyscy są zajęci.

Nieznanemu uklonił się i powiedział, że on właśnie przyszedł w sprawie tego posiedzenia, chodzi mu o niejakiego Kowalskiego, któremu zmniejszono pobory o sto złotych.

— Kim pan jest? — zapytał prezes.

— Francjozef Pierwszy — przedstawił się gość. — Cesarz.

Prezes podał cesarzowi krzesło i poczęstował go papierosem ze srebrnej papierośnicy. Cesarz wyjaśnił, że postanowił Kowalskiemu podarować złoty pierścień z brylantem, dla rekompensowania poniesionej straty.

Księgowy wstał i zapytał, czy nie znalazłby się także dla niego jakiś prezentik. Także prezes wyjął, że przydałby mu się jakiś wózek. Może „Mercedes”?

Cesarz odparł, że owszem, to mu nie sprawia trudności, znajdzie się i „Mercedes” dla prezesa, ale Kowalski dostanie dwa „Mercedesy”, bo Kowalskiego chciano skrzywdzić. Kowalski wszystko dostanie podwójnie.

Prezes skrzywił się i powiedział, że to nie jest sprawiedliwe. Cesarz był uparty. Nic, tylko że Kowalskiemu podwójnie.

Wobec tego rezygnuję z „Mercedesa”. — ponuro powiedział prezes.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

Na szczęście zabrał głos nasz personalny.

— Wasza cesarska mości — powiedział z chytrym uśmiechem. — Proszę, aby mi wyłupiono jedno oko!

— A Kowalskiemu obydwaj! — krzyknął triumfująco księgowy.

Na szczęście przebudziłem się w porę. Bo to oczywiście, był tylko koszmarny sen.

A jeśli chodzi o Kowalskiego — żadnego Kowalskiego nie znam.

JUSTYNA WOS

Ryszard Dzieszyński NAUCZYCIEL Z ROPCZYC

znajduje się pastwisko. Miejscowi ludzie powiadają, że pewnego razu z ziemi zaczął wyruszać się kościół. Akurat w tym momencie pastuch gonił krowę, która się spłoszyła i zezłoszczony, zaklął: „A bodaj byś przepadła!”, kościół z powrotem zapadł się w ziemię.

Na polach tych, wedle opowiadań starych ludzi wodziło „złe”. W biały dzień pokazywał się diabeł w postaci panny tańczącej po zagonach, a w nocy — jakieś błędne ogniki.

Sto lat temu dworzec w Świnie wygrzebały raciecamy z ziemi

zwłaszcza, na polu oświaty. Wkrótce założył oddział Towarzystwa Pedagogicznego, którego został sekretarzem, oraz Towarzystwo Pomocy Niezamożnym Uczniom. Ożywił też działalność Towarzystwa Ochrony Zwierząt, w którym również został wybrany sekretarzem. Ponadto założył bibliotekę, która osiągnęła liczbę przeszło stu abonentów, oraz czytelnię ludową. Urządzał w niej, co niedziela wykłady i prelekcje dla miejscowej ludności. Jak wkrótce stwierdzono w okolicy z dużym zdziwieniem, czytelnia ta

Pierwsza z tych książeczek była adresowana przede wszystkim do mieszkańców Ropczyc. W zakończeniu Udziela pisał: „Biorąc pióro do ręki, aby nakreślić tych kilka kartek miałem na myśli mieszczan ropczyckich, którym przeszłość rodzinnego miasta tak mało znana, których żadne pamiątki, żadne wspomnienia nie wiążą z miastem. W ich sercach pragniemy rozniecić iskrę miłości do tego zakątka swojego, ich serca napętnić dumą na wspomnienia tak wielkiej przeszłości, spotęgować przywią-

nymi. W uznaniu jego wysiłków proponowano mu dobrą posadę w Wydziale Szkolnym. Ale Udziela prosił, aby pozwolono mu wrócić w teren. Został przeło mianowany inspektorem szkolnym w Gorlicach. Otworzył się dla niego nowy rozdział w życiu. Na tym stanowisku Udziela miał daleko większe możliwości działalności społecznej. W Gorlicach pracował w latach 1891—1893. Znowu przemierzał teren. Wszędzie zakładał stowarzyszenia wzajemnej pomocy nauczycieli ludowych. Przeraziła go powszechna niedza panująca na tym najniższym szczeblu środowiska pedagogicznego, ale zawsze starał się im pomóc. W jednej ze wsi powiatu gorlickiego. Nowicy, zastał szkołę usytuowaną w walącym się domu, w klasie — niecki z żytem, za tablicą — beczkę z kiszoną kapustą. Sam nauczyciel objawił mu się w stroju własnego wyrobu — niczym Robinson Crusoe. Żył w strasznej nędzy, był obarczony liczną rodziną i aby jakoś podreperować swe bardzo skromne dochody — dodatkowo wyrabiał łyżki z drzewa. Udziela opisał to potem w książce pt. „Ziemia lemowska przed półwieczem”. Nie wspominał tylko, że po powrocie do Gorlic wystarał się o zapomogę dla nauczyciela, wysłał go na kurs stolarski celem podniesienia kwalifikacji w dodatkowo obranym zawodzie, a następnie załatwił mu zamówienia na wykonanie sprzętów dla kilku szkół w powiecie.

Nauczyciele wiejscy widząc, że Udziela jest dla nich życzliwym i wyrozumiałym opiekunem, stawali się dla niego o materiały etnograficzne. Dla wielu z nich był to ponadto cenny impuls, aby samemu zająć się badaniami regionalnymi. Zostawali oni potem korespondentami Udziela, dając tym samym cenne swego wkładu w rozwój wiedzy etnograficznej o Galicji.

W 1892 r. nakładem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie ukazała się praca Seweryna Udziela pt. „Lud polski w powiecie ropczyckim”. Zawiera ona mnóstwo legend, opisów faktów historycznych oraz materiałów dotyczących obrzędów ludowych. Szczególnie bogaty jest dział przyspiewek. Ropczyccanie słynęli z tego, że umieli na oczekaniu ułożyć śpiewkę reagującą na aktualne wydarzenie, czy też sytuację. Na jakimś weselu jedna z tańczących panien zauważyła Udziela siedzącego na progu domu i zapisującego przyspiewki. Stała przed nim i zaśpiewała: „Śpiewamy panu Udzieli”

By ludzie o nas wiedzieli Udziela dawno już nie uczył w szkole ropczyckiej, mimo to nadal interesował się tym regionem. Jedną z jego najciekawszych rozpraw porusza sprawę poczucia piękna u ludu ropczyckiego.

W 1892 roku Udziela został przeniesiony służbowo z Gorlic do Grybowa, a następnie do Wieliczki, wreszcie do Podgórza. Tam zaczął swą karierę nauczycielską, tam też ją chlubnie skończył.

Z początkiem XX wieku Seweryn Udziela oddał się wyłączenie swej pasji etnograficznej. Kierując Muzeum Etnograficznym w Krakowie, nie zaniedbywał podróży w teren. Jeździł też do wsi i miasteczek Rzeszowszczyzny. Owocem tych podróży były opublikowane w 1927 r. prace pt. „Z podań i legend Ziemi Bieckiej” oraz „Z Przeclawia”.

Seweryn Udziela zmarł w 1937 roku. Od opuszczenia przezeń Ropczyc minęło przeszło 80 lat. A jednak, gdy zapytawałem mieszkańców tego miasta, czy słyszeli o nim, odpowiadali niezmiennie: „Ależ oczywiście! To był porządny i dobry człowiek!”.



Fot. M. KOPEC

Niedawno, po generalnym remoncie otwarto podwoje Muzeum Etnograficznego. Zwiedzając je i natykając się co chwila na eksponaty niejednokrotnie opatrzone nazwami wsi i miasteczek z województwa rzeszowskiego, myślałem o założycielu muzeum i ofiarodawcy wielu tych przedmiotów, przywiezionych z ciągłych wędrowek po Rzeszowszczyźnie — Sewerynie Udzieli.

Nieco później, przejeżdżając linią kolejową arcyksięcia Karola Ludwika, wybudowaną w połowie ubiegłego stulecia i prowadzącą do Przemysła, wysiadłem na stacji w Ropczycach. Tyle razy jeździłem tą linią i zawsze intrygował mnie fakt, że prócz stacji kolejowej i paru budynków o charakterze przemysłowym i w ogóle gospodarczym, nie dostrzegalem nic, co by przypominało powiatowe miasto. Wreszcie postanowiłem rzeczb zbadać na miejscu i przekonałem się, iż jest to całkiem przyjemna miejscowość.

A rozslawił ją pierwszy właśnie Seweryn Udziela. Nie był to wprawdzie rodowity ropczyccanin, urodził się w Starym Sączu, a szkoły ukończył w Tarnowie. Ale po pewnym czasie, zapoznawszy się ze szkołami w Podgórzu i Ranizowie, gdzie pracował jako nauczyciel ludowy, znalazł się na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku na kolejnej posadzie w Ropczycach.

Ropczyce są położone między dwoma pasmami wzgórz, w wąskiej dolinie, nad rzeczką Wielopolką, wpadającą do Wisłoka i mającą zaledwie 42 kilometry długości. Wokół rozciągają się wawozy, lasy, moczary i torfowiska. Gleba jest tu urodzajna, jedynie na północny powiatu — nieco piaszczysta.

Miejsce założenia miasta miał wybrać biskup Stanisław Szczepanowski, który wizytował tamtejsze parafie. Osada ta nazywała się wówczas Gródek i zapadała się — wedle legendy — w ziemię. Podobno do dzisiaj miejscowi ludzie pokazują szparę w ziemi, do której przyłożywszy ucho, można usłyszeć bicie kościelnego dzwonu. Teraz na tym terenie

dzwon, na którym wypisano imię Jan. Zawieszono go potem w kościele farnym w Górce Ropczyckiej. Próbowano na tym polu prowadzić prace archeologiczne. Wykopano długi tunel i natrafiono na żelazne drzwi. Dano jednak znać z miasta, żeby nie kopać dalej, bo ziemia jest obsuwa i mieszkańcy obawiają się, aby nie powtórzyła się historia Gródka.

Gdy Seweryn Udziela przybył do Ropczyc, dzwigało się ono zwolna po pożarze, który miał miejsce w 1873 roku. Spłonął wtedy zabytkowy, gotycki kościół oraz drewniane domy z podcieniami, stojące na rynku. Ocalała tylko część zachodnia i południowa miasta. Ku zdziwieniu mieszkańców oparła się płomieniem stojąca na rynku drewniana kapliczka z figurą św. Jana Nepomucena, mimo iż nagromadzone wokół niej sprzęty, wylagane z pałaców się domów — splonęły.

Mieszczanie ropczyccy zajmowali się rolnictwem i handlem owocami i cebulą. Rzemięsto, tak dawniej tam rozwinięte, zupełnie podupadło. Ludzie byli pracowici, zapobiegliwi, oszczędni i nie chcieli się przyznawać do niedostatku z powodu wrodzonej dumy.

Udziela rozglądawszy się w terenie, doszedł do wniosku, że wiele jest tutaj do zrobienia,

stała się poważnym konkurentem dla miejscowego... szynku, który zaczął od tej pory mocno świecić pustkami. Głód wiedzy był silniejszy od skłonności do alkoholu. Udziela, by zachęcić do licniejszego odwiedzania czytelnicy, zaprenumerował z własnych oszczędności szereg pism, które mógł czytać każdy, kto przestąpił próg czytelnicy. Do dzisiaj ludzie wspominają, że Udziela cieszył się, gdy widział gazety zabrudzone i poplamione, albowiem świadczyło to o dużym zainteresowaniu ze strony czytelników...

Jednocześnie Udziela uzbrojony w notes i ołówek zapuszczał się w najbardziej niedostępne okolice powiatu. Zbierał pieśni ludowe, zapisywał stare obrzędy, zwyczaje i opowieści. Już w 1879 roku opublikował swój pierwszy artykuł. Zwolna rozszerzał krąg swoich zainteresowań. W 1881 r. wydał w Tarnowie, nakładem miejscowego pisma „Pogoń” dwie książeczki: „Wspomnienia z przeszłości Ropczyc” oraz „Piski w mieście Ropczycach i okolicy”. Pierwsza z nich miała charakter historyczny, druga — etnograficzny, dotyczyła bowiem obrzędów wielkanocnych. Książeczki te cieszyły się dużym powodzeniem wśród mieszkańców Ropczyc, a prócz tego przyniosły autorowi rozgłos nie tylko w skali powiatu.

zanie do starej siedziby praoców”.

Autor pragnął, aby książka stała się bodźcem dla mieszkańców miasta, aby przyłożyli się w większej mierze do jego rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Jego marzeniem było ujrzeć znowu Ropczyce w rozkwicie, tak jak to bywało za dawnych czasów, kiedy miasto to nazywane było „małym Gdańskiem”. Dał temu wyraz, pisząc:

„Oby te kartki zachęta Wam były Ropczyccanie do uporządkowania, ulepszenia miasta Waszego starego. Dzieciom moim powtarzajcie opowiadania moje, powtarzajcie im ciągle, że nie ma miejsca piękniejszego nad miejsce rodzinne, jak nie ma nie droższego nad nasz kraj ojczysty!”

Seweryn Udziela stawał się lokalnym patriotą, miłośnikiem miasta i jego historii i pragnął teraz zaszczylić tę miłość wszystkim jego mieszkańcom.

Wkrótce jednak przyszła chwila rozstania z Ropczycami. Oto Udziela wygrał konkurs na napisanie podręczników dla szkół elementarnych. Namieśnictwo we Lwowie, oraz Wydział Szkolny Krajowy, wzywały go do siebie. Przez kilka miesięcy Udziela pracował nad organizacją szkolnictwa podstawowego, zasadami metodyki oraz podręcznikami szkol-



dzielem Brodzińskiego „O klasycznej i romantycznej” polemizował Mickiewicz.

Konrad Bartoszewski: MIECZYSLAW ROMANOWSKI. Poeta powstaniec. PIW, s. 316, cena zł 25.

Jedni znają poemat „Dziewczę z Sącza”, inni wiersz zaczynający się od słów: „Orły, sokoty dajcie mi skrzydła...”. Wiele jest legend i wiele prawd o życiu tego poety-żołnierza. Żył lat 25, zginął w powstaniu styczniowym, Ciekawa sylwetka, ciekawie napisana. Na tie epoki.

Zbigniew Sudol: KORESPONDENCJA ZUGMUNTA KRASIŃSKIEGO. Studium monograficzne. PIW, s. 408, cena zł 60.

Specjalistyczna praca, której autor pragnie wyznaczyć główne kierunki epistolografii Krasińskiego oraz ukazać zawile dzieje edytorstwa listów poety.

INGRES w oczach własnych i w oczach przyjaciół. Oprac. Pierre Courthion. Przeł. E. Bąkowska. PIW, s. 324, cena zł 25.

W serii „O malarzu Janie Auguste Dominiku Ingres. Niezbyt dobrym malarzu XIX wieku. Jednak sporo szczegółów jego portretów... A ciekawe życie... Epoka...”

Elisabeth Dored: KOCHAŁAM TY-BERIUSZA. Tłum. B. Hiasło. Wyd. Poznańskie, s. 396, cena zł 30.

Okres Cesarstwa Rzymskiego. Przełom i w.p.n.e. i i.w.n.e. Powieść historyczna a zarazem obyczajowa i psychologiczna. O Julii, jedynej córce cesarza Augusta. Polemika z legendą o rozłączeniu życia tej cesarskiej cory.

Ryszard Adamów: ZEMSTA PAROWCA. Wyd. Morskie, s. 200, cena zł 12.

Bezpretensjonalny zbiór opowiadań o życiu marynarzy-żołnierzy. Głównie o życiu podwodniaków. Specyficzny humor. Przygoda.

Roman Bratny: PRZESŁUCHANIE PANA BOGA. PIW, s. 184, cena zł 12.

Autor „Kolumbów” prezentuje nam cztery opowiadania. Współczesne. Obrachunki z niedawną przeszłością. Obyczajowość i wzorce moralny Polaka.

Stanisław Swen Czachorowski: PEJZAZ GNOJNEJ GÓRY. PIW, s. 196, cena zł 12.

Znamy już sześć tomików wierszy tego pisarza. Dziś mamy w rękę debiut prozatorski. Tematyka współ-

czesna. Opowiadania te powstały w latach 1953—1954.

Henryk Worcell: WIECZORY POD LIPĄ. PIW, s. 176, cena zł 12.

Autor „Zaklętych rewirów” twierdzi, że z lenistwa nie napisał powieści o Wrocławiu, mieście, w którym mieszka, ale w zamian prezentuje osiem zawartych w tomie opowiadań. Współczesne, regionalne, ale z odniesieniami do całej Polski.

Edouard Peisson: ORZEŁ MORSKI. Tłum. A. Długosz. Wyd. Morskie, s. 352, cena zł 20.

Oczywiście tematyka morska, bo taką uprawia znany polskim czytelnikom francuski marynista. Tym razem dzieje ekspedycji wielorybniczej na morza Antarktyki. Postawy ludzi. Psychologia.

Stefan Kaczmarek: O PRZEDMIOCIE I ZADANIACH HISTORII FILOZOFII. KIW, s. 344, cena zł 30. Piótno.

O metodologii filozofii.

I. Bażenow, K. Morozow, M. Stucki: FILOZOFIA NAUK PRZYRODNICZYCH. Przeł. A. Bednarczyk, Z. Schabowski, KIW, s. 508, cena zł 70.

Systematyczny i przystępny wykład na temat zagadnień filozoficznych matematyki, fizyki i cybernetyki.

Jan Okoń: PSYCHOLOGIA CZŁOWIEKA PRACUJĄCEGO. KIW, s. 142, cena zł 10. Mała Biblioteka Wiedzy o Pracy.

Stefan Klonowicz: WSTĘP DO FIZIOLOGII PRACY. Zarys popularny. KIW, s. 238, cena zł 14. Mała Biblioteka Wiedzy o Pracy.

Adam Zieliński: OCHRONA ROZSZEŃ PRACOWNIKÓW W SĄDOWYM POSTĘPOWANIU CYWILNYM. Wyd. Prawnicze, s. 182, cena zł 19.

Kazimierz Olesiak: OBRÓT ZIEMIĄ W GOSPODARSTWACH CHŁOPSKICH W REJONIE PUŁAW. 1945—1964. KIW, s. 224, cena zł 20.

Włodzimierz Wesolowski: KLASY I WALKA KLAS W KAPITALIZMIE. KIW, s. 72, cena zł 4.

Edmund Kitowski: SUROGACJA RZECZOWA W PRAWIE CYWILNYM. Wyd. Prawnicze, s. 132, cena zł 18.

NORMY ŻYWIENIA ZWIERZĄT GOSPODARSKICH. Praca zbiorowa. PWRIL, s. 300, cena zł 30. Wyd. IV. Władysław Kamieniecki: PRZYRZĄDZANIE I KONSERWACJA PASZ. PWRIL, s. 180, cena zł 10. Wyd. II.

Alina Witkowska: KAZIMIERZ BRODZIŃSKI. PIW, s. 364, cena zł 40.

W cyklu „Ludzie żywi” monografia znanego poety XIX w. Oczywiście, jak w każdej dobrej monografii na tie epoki, nie twórczość literacka jest jednak tematem. Nie efektowne przygody, nie piękne kochanki, ale codzienność, postawa wobec życia. Z

Kartki dla Ewy

CZAS

Nie lubimy się spieszyć. Ten i ów powiada z lubością: pośpiech niszczy zdrowie, śpiesz się powoli, zawsze zdążysz się spóźnić. Spóźniałstwo uchodzi nawet za dowód znajomości form towarzyskich. Tymczasem zwirowany wiek XX wciąż jednak zwiększa tempo życia. Wszyscy biegamy na różne dystanse i mimo wysiłków nadażyć nam trudno. Gdyby chodziło tylko o samochody, odrzutowce i ekspresy? Natura trzyma w zanadrzu inne jeszcze sprawy, nad którymi warto się zastanowić.

Tata po latach spędzonych w kosmosie wróci na ziemię młodszy od syna. Złośliwość, czy nader przemyślane zrządzenie losu? Kiedyś się wszystko wyjaśni, a na razie nad względnością czasu niech bledzą się uczeni. To zagadnienie nie dla nas. Czas jednak istnieje, uznajemy jego podział, martwimy się upływem i zawsze go mamy za mało. Wszystko zresztą zależy od okoliczności. Jednym ciągnie się jak guma, drugim ucieka w zawrotnym tempie.

Petentowi w urzędzie spieszyć się nie wolno, gdyż jego sprawa nigdy nie nabierze mocy urzędowej. Lekarz powinien cierpliwie wysłuchać pacjenta, ale może mu poświęcić zaledwie trzy minuty. Zaproszonym gościom nie wypada punktualnie przyjść na kolację, zyskają miano natrętów i łakomczuchów. Kiedy się jednak spóźnia, pani domu narzeka przez tydzień. Księgowego goni bilanse, dyrektora narady, ekspedientkę klientów, choć często się zdarza, że jest odwrotnie. Wszyscy mamy niecierpiące zwłoki terminy, zobowiązania, żyjemy z kalendarzem i notesem w rękę, zająłwamy interesy na wczoraj i przedwczoraj — spóźniamy się ile wlezie.

Pod tym względem jesteśmy zupełnie beztroscy. Pięć minut później, pięć minut więcej, cóż to znaczy wobec wieczności. Wszyscy dookoła wiedzą, jacy jesteśmy zapracowani, wspaniałomyślnie więc wybaczą nam naszą niepunktualność. Ponarzekaemy tylko na marnotrawstwo, bezmyślność i złą organizację, ale o udział w tym wszystkim posiadzi nas nie wolno. Inni miewają brzydkie cechy — my nie!

Dawno już stwierdzono, że ludzi punktualnych cenili się wysoko, rozumieją bowiem znaczenie czasu, tak istotnego dla wszystkich. Rzymianie mawiali — tempus fugit — wiedząc, że każda zmarnowana chwila jest bezpowrotna. Nie chodzi oczywiście o to, by harować od świtu do nocy, bez możliwości wypoczynku, korzystania z rozrywek — kulturalnych czy sportu. Człowiek musi tak organizować swoje zajęcia, aby móc pozwolić sobie od czasu do czasu na luksus nudy i „nicnierobienia”. Jest mu to konieczne do prawidłowego funkcjonowania organizmu. Powinny to być jednak chwile w jakiś sposób zaplanowane, wpisane w codzienny podział godzin, gdyż przypadkowa beczynność w zepsutej windzie doprowadza tylko do wściekłości.

Zycie z otówkiem w rękę wydaje się ponure jak siedem smutków, nie ma w nim miejsca na przyjemności i radości, ale to tylko pozory. Przyjrząwszy się bliżej czemu poświęcamy czas, będziemy zaskoczeni. Jałowe, plotkarskie dyskusje, łażenie bez celu po mieście, odwiekanie roboty w nadziei, że zjawia się krasnoludki... A potem piętrzą się terminy, spada lawina obowiązków, człowiek jest bezradny, nie śpi, nie dojada i spóźnia się nawet na własny ślub.

To nie żarty, bywają i tacy nowożeńcy, którym choć pilno do wymiany obrączek, czynią to z akademickim kwadransiem. Nie należy posądzać ich o lekceważenie doniosłej chwili. Wszystkiemu winne niesprzyjające okoliczności — krawcowa sukni nie skończyła, spóźnił się autobus i nie przywieźli w terminie kwiatków do kwiatarni. Nikomu się przecież nie spieszy. Nie ma do czego. Lepiej pofilozofować nad przemijaniem życia, tak szybko przecież ucieka. Szkoda tylko, że na własny pogrzeb nie może człowiek przyjść z opóźnieniem.

BEGA

Na naszym ekranie

„PAN WOŁODYJOWSKI”

28 marca odbędzie się premiera filmu „Pan Wołodyjowski” — ekranizacji trzeciej części sienkiewiczowskiej Trylogii, dokonanej przez reżysera Jerzego Hoffmana.

Reżyser, który obok Jerzego Lutowskiego jest także współautorem scenariusza, starał się o dochowanie wierności literackiemu pierwowzorowi. Jedyna scena, którą oglądamy w filmie, a której nie znajdzie czytelnik na kartach powieści to potyczka z czterema prasantami; stacza ją Wołodyjowski po opuszczeniu murów klasztornych. Chodziło tu o pokazanie umiejętności i możliwości wojskowych Małego Rycerza. Oczywiście niemożliwe było przeniesienie na ekran wszystkich wątków i postaci obszernej powieści. 2,5-godz. film mógł zawrzeć tylko najważniejsze, najbardziej istotne jej fragmenty.

Fabula filmu jak gdyby rozpada się na dwie części, różniące się nastrojem, atmosferą. W pierwszej — akcja toczy się w Warszawie, oddaje klimat ówczesnej epoki i stanowi tło dla wątków „ro-

mansowych” Wołodyjowskiego, Basi, Krzysia i Kettlinga. W drugiej części oglądamy bohaterów na tle bezkresnych stepów, stanic chreptiowskiej, Kamieńca Podolskiego. Pierwsza część — mimo dramatycznych epizodów — ma charakter beztrości, druga jest utrzymana w nastroju surowym, w który wprowadza także tęskna kresowa ballada o obronie rubieży i przecuciu śmierci, skomponowana przez Andrzeja Markowskiego do słów Andrzeja Czekańskiego.

Film (szerokoekranowy, kolorowy na taśmie eastmancolor) nakręcony był niespełna rok, a ściślej 11 miesięcy — od 13 października 1967 r. do 13 września 1968 r. Zdjęcia na tle stanic chreptiowskiej realizowano w Bieszczadach, tam też filmowano ucieczkę Basi, płonący Raseków i inne. Dla nakręcenia scen w Kamieńcu wzniesiono na wzgórzu zamkowy pod Chęcina mi największe w dziejach polskiej kinematografii dekoracje, przedstawiające kamienne zamki dolny i górny oraz przedpole z obozem tu-



LUIZA GORSKA — przewodnicząca Komisji do Spraw Młodych Nauczycieli przy ZNP w Krośnie.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Film Film Film

CANNES 69

do dwóch osób, zamiast pięciu.

KANDYDACI DO „OSCARÓW”

Mimo fiaska zeszłorocznego międzynarodowego festiwalu filmowego w Cannes delegat generalny do spraw tego festiwalu Favre Le Bret jest pełen dobrej myśli. W niedawnym wywiadzie dla AFP oświadczył, że „Cannes 69”, który odbędzie się w dniach 8 do 23 maja, stanie się „prawdziwą Mekką światowej twórczości kinematograficznej”. Liczy na udział ok. 28 filmów, które wybierze w szeregu krajów, do których się wybiera. Nastąpią zmiany w składzie jury: reprezentacja francuska ograniczy się

Amerykańska Akademia Filmowa wytypowała pięć filmów do dorocznej nagrody „Oscara”. Są to: „Romeo i Julia” Franco Zeffirellego, „Funny girl” Williama Wyleera, „The lion in winter” Anthony Harveya, „Oliver” Carola Reeda oraz „Rachel, Rachel” Paula Newmana. „Wojna i pokój” Sergiusza Bondarczuka jest kandydatem do „Oscara” jako najlepszy film zagraniczny.

(st) (Kt—PAP)

ZDARZENIA TYGODNIA

W dniu 1 bm. w Rzeszowie odbył się koncert symfoniczny, zorganizowany przez Państwową Filharmonię im. A. Maławskiego. Udział w nim wzięła znakomita krakowska pianistka, laureatka międzynarodowego konkursu im. Tizolli w Mediolanie w 1966 r. — Ewa Wołak która wykonała koncert fortepianowy A. Liszt, F. Liszta, Orkiestra pod dyktando Janusza Ambrosa zaprezentowała natomiast Symfonie nr 49 J. Havdna i III Symfonia B. Martinu.

W lokalu klubu WDK „Turkus” w Rzeszowie odbył się kolejny „czwartej literacki”. Było to spotkanie z członkiem rzeszowskiego Oddziału ZLP Jerzym Pleśnarowiczem. Mówił on o warsztacie tłumacza i swoim dorobku w dziedzinie przekładu. Warto tu nadmienić przy okazji, że Jerzy Pleśnarowicz zajmuje się tą dziedziną twórczości od 30 lat i posiada niemały dorobek. Są to przede wszystkim tłumaczenia poezji rosyjskiej, ukraińskiej i słowackiej.

W poprzednim „czwartku” gościł Władysław Bodnicki z Krakowa który mówił na temat „Wyspiański w zyciu i twórczości”.

W dniach od 4 do 7 bm. w Wojewódzkim Domu Kultury trwało szkolenie instruktorów oświatowych PDK i powiatowych poradni kulturalno-oświatowych.

Zajęcia poświęcone były wykorzystaniu filmu oświatowego w działalności placówek ze szczególnym uwzględnieniem przypadających w bieżącym roku rocznic. Uczestnicy seminarium odbyli 3-dniowy kurs z zakresu obsługi waskiej taśmy, przeprowadzony przez Centralne Filmów Oświatowych „Filmos” w Rzeszowie. Został on zakończony egzaminem, uprawniającym do wyświetlania filmów.

W czwartym dniu przeprowadzone zostały zajęcia z zakresu metodyki form działalności oświatowej w ramach realizacji programu udziału placówek we współzawodnictwie pt. „Każdego dnia służymy Polsce Ludowej”. Omówiono także udział placówek w kampanii wyborczej do Sejmu i rad narodowych.

W Uniwersytecie Ludowym we Włodowie zakończyło się, zorganizowane z inicjatywą ZW ZMW, tygodniowe szkolenie organizatorów czytelnictwa. W kursie uczestniczyło 20 osób, które będą spełniały rolę łączników między kółkami ZMW i bibliotekami gromadzkimi oraz będą organizowały w klubach i świetlicach imprezy, związane z popularyzacją czytelnictwa i książki.

Było to pierwsze przedsięwzięcie z zaplanowanej na szerszą skalę akcji szkolenia aktywów ZMW z tego zakresu. Bada go również prowadzi poszczególne zarządy powiatowe tej organizacji.

Dotychczasowe Ognisko Muzyczne w Łańcucie zostało przekształcone w Państwową Szkołę Muzyczną I stopnia.

Placówka ta w chwili obecnej kształci w 7 oddziałach (3 dziecięce i 4 młodzieżowe) 110 uczniów. Filia szkoły w Markowej posiada 8 oddziałów z 112 uczniami.

W Jasle odbyło się ostatnio doroczne walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze Stowarzyszenia Miłośników Jasła i Regionu Jasielskiego.

Jak wynika ze sprawozdania, Stowarzyszenie skupia obecnie około 200 osób. W ubiegłym roku aktywnie uczestniczyli w organizowaniu jubileusz 100-lecia gimnazjum w Jasle, sesji popularnonaukowej pt. „Jasło oskarża” zorganizowanej w 25 rocznicę ewakuacji i zniszczenia miasta oraz dorocznej imprezy „Dni Jasła 1968”. Dużym osiągnięciem jest niewątpliwie zgromadzenie zbiorów muzycznych, które dały początek muzeum regionalnemu. Statut tej placówki został już zatwierdzony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Przy Archiwum Artura Maławskiego działającym w Muzeum Ziemi Przemyskiej w Przemysku powstała Społeczna Rada Artystyczna. Jej przewodniczącym został dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia mgr Wacław Łuczak, sekretarzem — nauczycielka muzyki Maria Maresch. Ośmioosobowa rada tworząca działające kultury i popularyzatorzy muzyki głównie z Przemysła.

Opracowano bieżące współdziałania Archiwum z innymi placówkami artystycznymi oraz sposób popularyzacji muzyki współczesnej z uwzględnieniem twórczości Artura Maławskiego. Pierwszy koncert monograficzny kompozytora z Przemysła odbędzie się 21 bm. z udziałem Zofii Stachurskiej, znakomitej interpretatorki pieśni Maławskiego i Tria Krakowskiego.